# MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 19. WARSZAWA, 23 KWIETNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

## PRZYWILEJE ŻUBRÓW

„ŻUBRY giną, a pluskwy mnożą się“ — znane to powiedzenie dyrektora „Centralnego Związku Przemysłu Polskiego“, pana Andrzeja Wierzbickiego, zasuggestjonowało opinję publiczną, a nawet utrudniło jej zorjentowanie się w istotnem położeniu małych i wielkich przedsiębiorstw przemysłowych podczas przesilenia. Oczywiście, mówiąc „żubry“, p. Wierzbicki nie miał na myśli ziemian, ale wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe.

Czy istotnie żubry giną? Zdaje się, że podczas każdego, t. zw. normalnego przesilenia przedwojennego, ilość upadłości przedsiębiorstw przemysłowych była większa, niż podczas niebywałego w natężeniu i długotrwałości wstrząsu gospodarczego, jaki obecnie przechodzimy. Na palcach jednej ręki policzyć można naprawdę wielkie przedsiębiorstwa, które w ostatnich latach zbankrutowały. Warto bliżej zbadać przyczyny tego zjawiska i porównać warunki pracy małych i wielkich przedsiębiorstw przemysłowych w Polsce.

Żubry mają swoje przywileje... Same rozmiary przedsiębiorstw dają możliwość uzyskania od rządu korzystnych warunków „indywidualnych“. Gdy żubr jest zagrożony, łatwo mu o uzyskanie praw wyjątkowych, które ciężarem swym spadają pośrednio na barki mrówek. Wyjaśnimy to na przykładzie zaczerpniętym z Łodzi, choć nie trudno byłoby zacytować podobne fakty z innych ośrodków przemysłowych.

Jest tam przedsiębiorstwo wielkie, „zatrudniające kilkanaście tysięcy bezrobotnych“ (wszystkie wielkie przedsiębiorstwa zatrudniają bezrobotnych— nie należy analizować strony logicznej tego powiedzenia). Byłoby rzeczą niedopuszczalną z punktu widzenia interesów gospodarstwa narodowego, żeby przedsiębiorstwo to upadło. Wobec tego rząd wszelkiemi środkami dopomaga mu. Przy ogólnie znanym prywitywizmie „myślenia“ gospodarczego, rozumowanie powyższe uznano za wystarczający motyw do udzielania olbrzymich, dochodzących do ośmiu miljonów dolarów kredytów państwowych wspomnianemu przedsiębiorstwu, dalej do darowania mu grubej części odsetek od wspomnianego kredytu i przyznania zagrożonemu przedsiębiorstwu wyjątkowych ulg podatkowych. Żubr nie zginął.

A co się dzieje z mrówkami? Płacą podatki, potrzebne dla wyrównania strat ponoszonych, choć nie zawsze wyraźnie ujawnianych przez skarb. Swego czasu płaciły one podatki, potrzebne na zgromadzenie funduszów Banku Gospodarstwa Krajowego, z których kolos przemysłowy otrzymał osiem miljonów dolarów. Nie koniec jednak na tem. Przedsiębiorstwo wielkie, z funduszów pieczołowicie przez mrówki uskładanych w ... kasach skarbowych, finansuje produkcję, dla tych mrówek konkurencyjną. Może ono gospodarować źle i nierozważnie — nic mu to nie szkodzi — nie może być zamknięte, bo „zatrudnia tysiące bezrobotnych“. Gdy jednak małe przedsiębiorstwa upadają, albo nie rozwijają się tak, jakby mogły, nic to nikogo nie wzrusza. Nie bierze się pod uwagę tego, że sto czy dziesięć mniejszych fabryk pokryje z powodzeniem zapotrzebowanie, zaspokajane przez kolosa i zatrudni przytem większą ilość pracowników, nie potrzebując mniej lub więcej zamaskowanych subwencyj rządowych. Zrozumienie tego prostego faktu przez kompetentne osoby napotyka na przeszkody, co do których różne można mieć poglądy.

Jeżeli przedsiębiorstwo przemysłowe bez subwencyj pracować nie może, to trzeba się pogodzić z jego niezdolnością do życia. Ekonomiści ostatnio niemal jednogłośnie stwierdzają, że właśnie bardzo wielkie przedsiębiorstwa nie mogą wytrzymać konkurencji mniejszych. Zanadto zagalopowano się w kierunku koncentracji, która, jak poucza doświadczenie, tylko do pewnych granic daje korzyści, a zawsze naraża życie gospodarcze na duże wstrząsy. Trudno zatem dopatrzeć się racjonalnych mo-

tywów sztucznego ratowania kolosów, co oczywiście nie znaczy, by kierowano się tu motywami... irracjonalnej natury.

Opisany przez nas wyżej sposób uprzywilejowania żubrów należy do dziedziny kredytowej. Są jeszcze inne przywileje. Jak wiadomo „żubry", które miał na myśli p. Wierzbicki, to są przeważnie przedsiębiorstwa, należące do obcego kapitału. Fakt, że formalnie na ich czele stoją ludzie o bardzo starych („historycznych" — jak mówi minister Zarzycki) lub bardzo nowych, ale zawsze czysto polskich nazwiskach, nie ma tu istotnego znaczenia.

Jak przedsiębiorstwa o obcym kapitale radzą sobie z podatkiem dochodowym, wiedzą nawet małe dzieci. Dochód ukrywany jest w odsetkach od wypożyczonego kapitału, w opłatach za licencje patentowe, płaconych macierzystym zakładom zagranicznym, w cenie sprowadzanych z zagranicy części lub t. p. Lojalnie trzeba przyznać, że konstrukcja podatku dochodowego jest teoretycznie krzywdząca dla przedsiębiorstw wielkich, zwłaszcza akcyjnych. Dochód ze spółki akcyjnej jest opodatkowany podwójnie, raz jako dochód spółki, raz jako dochód akcjonarjusza. Pozatem procentowe obciążenie dochodu jest większe przy spółkach o dużym kapitale, gdyż zależy od bezwzględnej wysokości dochodu, a nie od stosunku dochodu do kapitału zakładowego. Duża spółka, której dochód wynosi dziesiątą część kapitału, zapłaci podatek w wysokości połowy dochodu, a mała spółka, której dochód wynosi także dziesiątą część kapitału, zapłaci podatek w wysokości naprzykład jednej dziesiątej części dochodu. To jest teorja. W praktyce wielkie spółki, zwłaszcza akcyjne, mają dużo sposobów ukrycia dochodu, tak że podatku dochodowego wcale nie potrzebują płacić.

Płacenie odsetek od wypożyczonego zagranicą kapitału wcale nie jest jedynym sposobem ukrywania zysku. Wchodzą tu w grę jeszcze inne cudowne kombinacje. Naprzykład „przedsiębiorstwo należące do samego siebie". Trzeba najpierw wytłumaczyć, co to jest. Spółka akcyjna A ma 51 procent akcyj spółki akcyjnej B, zaś spółka akcyjna B posiada 51 procent akcyj spółki akcyjnej A. Przy takim układzie stosunków faktycznie oba przedsiębiorstwa nie należą do nikogo, a rządzi w nich paczka dyrektorów i członków rad nadzorczych. Tym chodzi o to, by nie płacić ani dywidendy, ani podatku dochodowego, lecz cały dochód skonsumować w postaci pensyj, tantjem, djet i t. p. i t. p.

Bardzo pouczające jest śledzenie konkretnych wypadków z życia gospodarczego, które niejednokrotnie pozwoli nam na dojrzenie rzeczy bardzo istotnych, a ukrytych dla oka szerszej publiczności, bądź maskowanych pięknemi formułami rozmaitych deklaracyj wielkiego przemysłu, które swą górnolotnością i liryzmem współzawodniczą z najpiękniejszemi utworami prozy polskiej. Często naprzykład powołuje się jakiegoś ustosunkowanego pana na stanowisko członka zarządu spółki X. Oczywiście przy tej okazji ten lub inny organ sfer gospodarczych doniesie, że taka to osobistość powołana została na odpowiedzialne stanowisko, by służyć przedsiębiorstwu swem długoletniem doświadczeniem, i prowadzić je dalej na drodze ku świetnemu rozwojowi, ku większej chwale ojczyzny i pomnożeniu jej bogactwa.

Faktycznie sprawa wygląda tak, że za określoną sumę nabyto stosunki osobiste jakiegoś pana w dziedzinie gospodarczej, a nawet politycznej. Pan ten może być przyjacielem osobistym ludzi, od których wiele zależy, może być z nimi związany węzłami innej natury, może go wreszcie łączyć z nimi taka lub inna przeszłość. Wreszcie taki *„Strohmann"* może stać na czele jakiejś organizacji gospodarczej i występować w imieniu tej organizacji na rzecz interesów przedsiębiorstwa, w którego radzie nadzorczej zasiada. Oczywiście takie wystąpienie jest skuteczniejsze od wystąpienia samego przedsiębiorstwa.

Tacy wybitni przedstawiciele życia gospodarczego są bardzo drodzy. Dlatego tak silna broń w walce o rozwój przedsiębiorstw, jak stosunki osobiste ich kierowników, przypada w udziale tylko większym przedsiębiorstwom, tak zwanym żubrom. Sprawa ta ma większe znaczenie, niżby na pierwszy rzut oka się wydawało. Przy obecnym systemie wyjątkowych praw, przywilejów, mniej lub więcej zamaskowanych monopolów, wszechwładzy administracji (każda ustawa gospodarcza jest zbiorem pełnomocnictw dla poszczególnych resortów rządowych!), dla wielkiego przedsiębiorstwa, a nawet dla całego wielkiego przemysłu (nigdy jednak dla całego przemysłu, a tembardziej nie dla całego życia gospodarczego kraju) dużo ważniejsze są takie lub inne osobiste stosunki z jednostkami, kierującemi polityką różnych „resortów" i „podresortów" rządowych, od tego, jakie jest ustawodawstwo w sprawach gospodarczych.

Nie trzeba być szczególnie wykształconym ekonomistą, by zrozumieć, że każdy przywilej indywidualny dla jakiegoś przedsiebiorstwa spada swym ciężarem na inne przedsiębiorstwa z tego działu, a pośrednio na cały kraj. Wielkie przedsiębiorstwa mają zatem przywileje, a małe przedsiębiorstwa — ciężary. Także podział pracy...

Jest jeszcze jedna dziedzina, w której szczególnie są jaskrawe przywileje żubrów. Istnieje w Polsce szereg karteli, monopolizujących sprzedaż surowców, względnie półfabrykatów przemysłowych. Zrzeszone w tych kartelach koncerny przemysłowe (chodzi mi głównie o przemysł hutniczy i o górnictwo węglowe) mają nieraz własne zakłady przetwórcze. Naprzykład huta żelazna ma własną fabrykę pudełek blaszanych. Ponieważ, jak wiadomo powszechnie, cena wewnętrzna wszelkich półfabrykatów żelaznych jest dużo wyższa od kosztów produkcji, a każdej hucie chodzi o rozszerzenie zbytu wewnętrznego, by zrównoważyć straty na wywozie, przeto huta liczy swemu oddziałowi, produkującemu pudełka blaszane, dużo niższe ceny od tych, jakie płacą mali fabrykanci pudełek blaszanych Syndykatowi Hut Żelaznych. Podobnie jest z uprzywilejowaniem fabryk, pobierających węgiel z kopalń, należących do tego samego koncernu. Takie pobieranie surowców „w trybie własnego zapotrzebowania", po cenach niższych, niż ceny oficjalne kartelu, przyczynia się do tego, że każde przedsiębiorstwo węglowe lub hutnicze stara się wytworzyć jaknajwięcej zakładów przetwórczych, niewątpliwie uprzywilejowanych w porównaniu z małemi fabryczkami, tak zwanemi „pluskwami". Zagadnienie to jest niezwykle interesujące, gdyż rzuca światło na politykę wielkich koncernów, które w miarę tracenia zdolności do taniego zaspokojenia potrzeb ludzkich, w miarę biurokratyzowania, zabójczego dla wszelkiej przedsiębiorczości, usiłują zapewnić sobie dalszy rozwój przy pomocy

organizacyjnych *trick*'ów. Cała szkodliwa polityka kartelów u nas jest wynikiem tych dążeń. Doprowadza to do powstawania wielopiętrowych koncernów pionowych, oraz do wieloletnich przesileń, wobec których ciężkie machiny *trust*'ów są często bezsilne dla braku zdolności przystosowania się.

Dla ścisłości zaznaczyć trzeba, że zużywanie surowców przez koncerny hutnicze i górnicze „w trybie własnego zapotrzebowania“ jest ograniczone przez kartele. Ograniczenia te jednak nie zawsze są skuteczne. Z drugiej strony atoli uprzywilejowanie wielkich przedsiębiorstw, jeżeli chodzi o nabywanie surowców, idzie dalej, niżby się to napozór wydawało. W „Programie Gospodarczym Centralnego Związku Przemysłu Polskiego“ czytamy obszerne dowodzenie p. Wierzbickiego, że ceny wielu artykułów kartelowych nie są tak sztywne, jakby się to napozór wydawało. Nieraz kartele, widząc, że obniżenie ceny w konkretnym wypadku może przyczynić się do powstania nowego popytu, idą na dalekie ustępstwa. Jest oczywistem, że ustępstwa takie są robione tylko wielkim przedsiębiorstwom i są większe, niżby to wynikało z oszczędności na kosztach handlowych przy sprzedaży masowej. Trudno przecież byłoby kartelowi badać, czy jakiś drobny przemysłowiec, jeżeli mu się obniży ceny węgla lub żelaza, kupi go o kilka wagonów więcej. Znów mamy zatem typowe uprzywilejowanie „żubrów“.

Czy jednak niema w życiu gospodarczem pluskiew? Ależ są — jest wiele małych fabryczek żydowskich, popełniających drobne oszustwa podatkowe, fałszujących produkty, urządzających oszukańcze plajty. Na wyższych piętrach naszego życia gospodarczego spotykamy także różne istoty, żyjące z niezbyt pożytecznych dla kraju procederów. Jak je nazwać? myślę, że ich zdolność do szybkiego tuczenia wskazuje dostatecznie jasno, do jakich zwierząt można je porównać.

Niski—co tu dużo mówić—poziom moralności naszych sfer gospodarczych jest z jednej strony wynikiem przyczyn rasowej natury, z drugiej strony zaś wynika z tego, że premje za nadużycia wszelkiego rodzaju są bardzo poważne. Ostra reglamentacja życia gospodarczego, mieszanie się państwa do wszystkiego, duże ciężary podatkowe—to wszystko stwarza wielką ilość pokus, a wobec tego, że wiele jest w życiu gospodarczem elementów niemoralnych, uczciwym jednostkom trudno utrzymać się na powierzchni. Nie można jednak bez rozminięcia się z prawdą twierdzić, że uczciwy i upośledzony jest wielki przemysł, a małe pluskwy są uprzywilejowane i żyją kosztem żubrów. Tuczą się... dziki i „pluskwy“, a giną mrówki i żubry. O ile uczuciowo bliższe mi są mrówki, niż żubry, o tyle rozumiem też, że żubry będą zawsze potrzebne. Trudno byłoby powiedzieć, co lepsze: „pluskwy“, czy... dziki. *Ambo meliores*. Dla mnie najmniej sympatyczni są tacy panowie, którzy nie sieją, nie orzą, zasiadają w dwudziestu radach nadzorczych i trudnią się tak zwanem po rosyjsku „*chadatajstwem*“, t. j. „reprezentowaniem“ różnych konkretnych interesików, a nie potrzeb całego życia gospodarczego, do czego z racji swego stanowiska byliby powołani.

Wreszcie warto się zająć często wysuwanem twierdzeniem, że pewne przywileje dla wielkiego przemysłu są uzasadnione tem, iż jest on... zracjonalizowany, posiada nowoczesne urządzenia, może wydajniej pracować i t. p. Jeżeli tak jest istotnie, to wielki przemysł specjalnej pomocy nie potrzebuje. Sam sobie da radę. Żądanie pomocy, w ten sposób motywowane, przypomina tego chłopczyka z anegdoty, który, mając chorego brata, mówi do matki: Ja jestem grzeczny i zdrowy, to dlaczego nie dostaję lekarstwa?

F. K.

# PRZYCZYNY ANTYSEMITYZMU W NIEMCZECH

(Ciąg dalszy)

## SOCJALIZM, KOMUNIZM, RADYKALIZM

W NIEMCZECH, tak jak i w innych krajach, Żydzi obsadzili wszystkie partje, a gdy potrzeba, znaleźli się nawet kryptożydzi, którzy, przyjąwszy chrystjanizm, niczem rodzynki, upiększali obóz antysemitów. Trzeba przecież zawsze mieć na uwadze, że w kahale nowojorskim, tej najwyższej władzy żydowskiej, zasiadają, między innymi: bankier Schiff, obserwujący ściśle wiarę ojców swoich i jego krewniak, Otto Kahn, wychrzcony, co jednak nie zmieniło postaci rzeczy. Jeżeli jest liczniejsza rodzina żydowska, każdy jej członek lokuje się w innej organizacji politycznej, a nawet, co się często praktykuje, w organizacjach politycznych różnych narodów. Np. Rappaportów spotkać można w partjach niemieckich, francuskich, włoskich, angielskich, polskich, przed wojną rosyjskich, a kto wie, może obecnie i u bolszewików są jakie Rappaporty. Jeden z Rettingerów, czynny czasu wojny w krakowskim NKN, później pracował w dyplomacji polskiej, drugi, także galicyjski Rettinger zanglikanizował się i jako wybitny członek *„Labour Party“* został wysłany do Meksyku, w którym był duszą „Cromu“, czyli krajowego Związku robotników meksykańskich, organizacji liczącej półtora miljona członków i będącej naddyktaturą. Prezydent Calles tak w Meksyku tańczył, jak mu zagrał dr. Rettinger, wysłannik *„Labour Party“* i naddyktator Meksyku. Po studjach w Meksyku p. Rettinger bawił w roku 1928 w Warszawie, poczem wybrał się do Chin. Przyjrzyjmy się dobrze stosunkom w Meksyku (dyktatura, anarchja, rozstrój wiązadeł, opanowanie kraju finansowe i gospodarcze, walka z religją, obyczajem), potem stosunkom w Polsce i Chinach. Oczywiście Niemcy mają też swoich Rappaportów i Rettingerów. Fortecą, którą najwięcej obsiedli, to partje socjalistyczne.

Cały zresztą socjalizm niemiecki jest tworem Żydów: Żydem był Karol Marx, a właściwie Mardochaj; Marxem przezwał się ojciec autora „Kapitału“, przytem rabin; Żydem był Mojżesz Hess, jakoteż Chaim Bueckeburg, powszechnie znany pod nazwiskiem Henryka Heinego; Żydem był również Ferdynand Lassalle. Oni właśnie założyli niemiecką socjalną-demokrację. Została ona z czasem najpotężniejszą partją socjalistyczną w świecie, a w niej

rządy sprawowali w gruncie rzeczy Żydzi. Jednocześnie wtedy teoretykiem reakcji niemieckiej był Żyd, Juljusz Stahl. Na kongresach socjalistycznych przewodniczył stale Żyd — Paweł Singer, znany z tego, że w jego fabrykach robotnice pobierały zarobki bardzo nędzne. Pierwsze niemieckie czasopismo socjalistyczne założył Żyd — Hoechberg. Robotników Żydów wśród socjalnej demokracji niemieckiej można policzyć na palcach, tymczasem wśród 25 posłów socjalistycznych do parlamentu Rzeszy przed wojną było dziewięciu Żydów, w tem czterech niewychrzconych, jak Singer, Haase, Wurm, Stadthagen. Kierownikami na różnych polach działalności socjalistycznej byli w Niemczech przed wojną Żydzi, np. Leo Arons miał powierzone sobie sprawy wyborcze, Hugo Heimann był specjalistą na terenie gospodarki samorządowej, Ludwig Frank organizował młodzież socjalistyczną, znów na czele socjalistycznego związku studentów niemieckich stał jeden z Rotszyldów, jakiś *junior*. Oprócz Marxa-Mardochaja i Lassalle'a, najwybitniejsi teoretycy socjalizmu niemieckiego, to sami Żydzi: a więc inicjator rewizjonizmu, Edw. Bernstein; potem przysięgły Marxa komentator, Karol Kautsky, Żyd czeski; dalej Adolf Braun, Simon Katzenstein, Jacob Stern, Bruno Schoenlank i pochodząca z Królestwa Polskiego, osławiona Róża Luxenburżanka, ostatnio komunistka, przytem kochanka „litwaka" Jogichesa-Tyszki, dyktatora w SDKP i L, który z tej partji zrobił przed wojną żydowską ekspozyturę „ochrany". Luxemburżanka, która grała wybitną rolę na lewem skrzydle socjalnej demokracji niemieckiej oraz w „esdecji" Królestwa Polskiego i Litwy, a także w Rosji, była i jest czczona przez nacjonalistów żydowskich jak święta. Przy okazji warto zaznaczyć fakt znamienny, że niejaki Barski (zapewne Żyd) napisał pod kierownictwem p. Stef. Z. Czarnowskiego, prof. uniwers. warszaw. i w lutowym zeszycie „Polskiej Oświaty Pozaszkolnej" wydrukował rekryminacje pod adresem p. Bogd. Suchodolskiego, że ten w książce „Ideały kultury a prądy społeczne", przedstawiającej duchowe życie Polski, nie zamieścił artykułów Róży Luxemburg, zajadłej przecie nieprzyjaciółki narodu polskiego, „esdeczki" komunizującej, czczonej przez nacjonalistów żydowskich.

Socjalistyczna i komunistyczna prasa niemiecka całkowicie opanowana przez Żydów: Bernstein, Kautsky, Kurt Eisner, Stadthagen, Gradnauer, Luxemburżanka, Kaliski, Stampfer, Kuttner, a przed wojną jeszcze Karol Radek (Sobelsohn) z Galicji, który po usunięciu z „Naprzodu" krakowskiego zadomowił się w socjalistycznych pismach Lipska i Hamburga. Jeśli dołączymy jeszcze socjalizm austrjacki, to V. Adler, Max Adler, Eckstein, Ellenbogen, Fritz Austerlitz, Therese Schlesinger, Ad. Braun, Hertz etc. To są dziennikarze i pisarze, Żydzi, którzy doniedawna nadawali ton socjaldemokracji niemieckiej, a przez nią całemu odłamowi demokratyczno-liberalno-radykalnemu. Teoretyczny tygodnik socjalistyczny „*Die Neue Zeit*", urabiający sądy nietylko socjalistów niemieckich, ale i socjalistów całego świata, w tem polskich, a może przedewszystkiem polskich, redagował przez wiele lat Żyd, Kautsky, którego najbliższymi współpracownikami i współredaktorami byli Żydzi: Eckstein, Hilferding, Róża Luxemburg, Bernstein, Wurm i Rjazanow, Żyd rosyjski. Żydowski miljoner Arons dał pieniądze na założenie dwutygodnika, „*Sozialistische Monatshefte*", w którym osadził na redaktora swego współwyznawcę, J. Blocha. Znaczna większość współpracowników stałych, to Żydzi. Socjalnydemokrata żydowski, rodem z Odesy, niejaki Izrael Łazarewicz, *alias* dr. A. Helphandt, znany w Niemczech pod pseudonimem Parvus'a, był wydawcą i redaktorem tygodnika socjalistycznego „*Die Glocke*". Parvus, to ciemna figura, on to pośredniczył w imprezie, którą zaaranżował generalny sztab niemiecki, przewożąc ze Szwajcarji do Rosji Lenina i Radka w zaplombowanym wagonie. Istnieją dane, że był na usługach defensywy politycznej i w tym charakterze był podczas wojny światowej wysłany do Kopenhagi przez wywiad wojskowy niemiecki (oddział IIIB). Otóż Parvus, przytem miljoner, posiadający zamek w Szwajcarji, a zarazem socjalny demokrata, którego hulaszczy i rozwiązły tryb życia w Szwajcarji podczas wojny zwrócił uwagę władz i prasy, ten właśnie Parvus na spółkę z drugim Żydem, tym razem rumuńskim, niejakim Sklarzem, głośnym z afer wszelakich w Niemczech, doszedł podczas wojny światowej do miljonów. Czy te miljony otrzymali w darze od robotników niemieckich? Bo socjalista Kautsky, teoretyk marxizmu, redaktor „*Die Neue Zeit*" skoro po rewolucji niemieckiej dostał się do sekretarjatu stanu, postarał się z tajnego archiwum państwowego sprzedać dokumenty zagranicę za grube pieniądze.

Kierownictwo komunistów niemieckich i radykałów spoczywa w rękach Żydów, pisarzami czołowymi, redaktorami, dziennikarzami, publicystami są Żydzi, jak Toller, Tälmann, Leriné, Lewin, Landauer, Lippete z obozu komunistycznego, a Ossietzky, Tucholsky czy Jacobsen z grupy skrajnych radykałów, których publicystyczną placówką był doniedawna niewielki rozmiarami tygodniczek „*Die Weltbuehne*", prowadzony od lat 29-ciu, a ostatnio z dużą energją, konsekwencją i przyznać trzeba — odwaga cywilną. Radykaliści z „*Weltbuehne*" komunizują i cieszyli się zawsze sympatjami bolszewików z Moskwy. Pismo jest zażydzone i prowadzone w duchu komunizującym. Na łamach jego drukują między innymi: Trocki, Toller, Hans Epich-Kamiński, Ignaz Wrobel i t. p.

## INNE PARTJE

Z partji socjalistycznej, komunistycznej i radykalnej Żydzi zrobili sobie domenę. To wiadomo. Ale nie zapomnieli i o innych stronnictwach. Przypomnijmy, że gdy w ubiegłem stuleciu grupka Żydów niemieckich zakładała stronnictwo socjalno-demokratyczne, w tym czasie inny znów Żyd zakładał fundamenty pod ideologję reakcyjnego nacjonalizmu niemieckiego. Kierownikami liberalizmu niemieckiego byli przecież Żydzi: Simson, Bamberger, Lasker. Ci dwaj ostatni byli także obrońcami żarliwymi — grynderów. Sferę konserwatywną, a więc ministrów, bankierów, posłów obrabiała dotąd grupa prof. Mendelssohna - Bartholdy w duchu żydowsko-masońskim.

Wogóle role zostały podzielone i różne komórki życia społecznego doskonale obsadzone i eksploatowane.

U góry: Warburgowie, Ballinowie, Speyery, Bleichroedery, Deutsche, Rathenau'y *et consortes*.

U dołu: Marx, Lasalle, Róża Luxemburg, Singer, Parvus, Sklarz, Toller, Thalmann *e tutti quanti*.

Dla inteligentów: Kautsky, Kaliski, Bloch, kilku Cohenów i Cohnów, paru Seligmanów, jakiś Hirsch i inny David czy Nachmansohn...

## PRASA

Wszędzie Żydzi starają się opanować prasę jako źródło informacyj i narzędzie dla urabiania korzystnych dla siebie opinji. To samo zrobili w Niemczech. Wpływ stanowczy mają w prasie socjalistycznej, komunistycznej i radykalnej. W r. 1928 socjalistyczna partja Niemiec posiadała około 190 pism o łącznym nakładzie mniej więcej półtora miljona. Duszą i nerwem koncernu komunistycznego prasowego również są Żydzi, a trzeba mieć na uwadze, że doniedawna popołudniowy dziennik komunistyczny „*Welt am Abend*“ był jednym z najpoczytniejszych w Berlinie, jak również komunistyczny tygodnik ilustrowany „*Arbeiter Illustrierte Zeitung*“, który drukował około 400 tysięcy egz. Ale to nie było wszystko. Bo oprócz pism „*Welt am Abend*“, „*Freiheit*“, „*Rothe Fahne*“, „*Vorwaerts*“, Żydzi zbudowali sobie jeszcze takie bastjony prasowego wpływu, jak koncern dziennikarski Mossego czy Ullsteina. Mosse wydaje szereg dzienników, tygodników, czasopism, pism satyryczno-humorystycznych z „*Berliner Tageblatt*“ na czele. Jest to typowo żydowskie pismo w języku niemieckim, jedno z najbardziej znanych zagranicą i ogromnie wpływowe, liczą się z niem wszystkie *Weltblatt*'y. Koncern Mossego jest tak obmyślony, że dla każdej warstwy społecznej wydaje się inny dziennik, inaczej redagowany, odpowiednio do gustów danej klasy. Naczelnem pismem koncernu żydowskiego Ullsteina jest burżuazyjna „*Vossische Zeitung*“, ale z tej samej fabryki dziennikarskiej wychodzi także popularne pismo, „*Berliner Morgenpost*“, redagowane przez socjalistów i czytywane przez ludność socjalistycznie nastrojoną. Ullstein też wydaje szereg dzienników, tygodników, miesięczników i t. p. Są to wielkie duchowe *Warenhaus*'y: wykwit rasy żydowskiej. Nakład Ullsteinowskiego tygodnika „*Berliner Illustrierte*“ dochodził do dwuch miljonów! Oprócz tych żydowskich koncernów prasowych wychodzi jeszcze dziennik „*Frankfurter Zeitung*“, redagowany przez Żydów i z ducha żydowski, mający wielki wpływ w zakresie politycznym, dziennik o światowym zasięgu. Są to w rękach Żydów potężne narzędzia wpływu. Ale oprócz tych pism, w rękach Żydów jest jeszcze ogromny poczet innych dzienników i czasopism Berlina i prowincji. W pismach tych zaangażowany jest kapitał żydowski, albo redakcje obsadzone są przez współpracowników Żydów. Wśród korespondentów wszelkich gazet przeważają Żydzi, którzy stanowili conajmniej dwie trzecie ogółu korespondentów pism niemieckich. Biura korespondencyjne socjalistyczne i radykalne są opanowane przez Żydów, którzy podbili i znaną ajencję telegraficzną Wolffa, większość akcyj bowiem tej ajencji znajduje się w posiadaniu banku Bleichroedera, Mendelssohna i Warschauera. Ajencje telegraficzne Hirsch-Herold i Presstelegraph też opanowali Żydzi. Ajencja telegraficzna Ullstein-Dienst, która poważnie zaczęła konkurować z Telegraphen U. Hugenberga jest żydowska, abonowana, zaś była przez wiele dzienników niemieckich. Większość współpracowników i korespondentów w zakresie spraw gospodarczych i społecznych, to Żydzi. I oni to urabiali sądy i opinje. Prasa gospodarcza zażydzona, lekarska także, techniczna również, pisma dla kobiet i poświęcone modom zażydzone, przeglądy polityczne zażydzone, czasopisma poświęcone literaturze, sztuce i teatrowi — zażydzone. Albo w rękach kapitału żydowskiego, albo kierownictwo żydowskie. Humor i satyra preparowane przez Żydów, przy pomocy kapitału żydowskiego: „*Der Ulk*“ (Mosse), socjalistyczny „*Der wahre Jakob*“ (Dietz), „*Lustige Blaetter*“ i „*Man Lacht*“ (Fysier), a słynne „*Kladderadatsch*“, „*Simplizissimus*“ i „*Jugend*“ preparują przeważnie żydowscy współpracownicy. Powiedzieć można, że doniedawna jeszcze trzy czwarte, a nawet dziewięć dziesiątych całej prasy niemieckiej zależało od Żydów.

Ci z pośród publicystów i dziennikarzy, co byli doniedawna *en vogue*, to także Żydzi, a więc przed paru laty zmarły Harden (Izydor Witkowski), Th. Wolff z „*Berliner Tageblatt*“, Georg Bernhard z „*Vossiche Zt*“, naczelni publicyści i trąby jerychońskie Izraela. Dalej Kerr czyli Kempner, potem Rudolf Lothar a właściwie Lothar Spitzer, Hans Emir t. j. Ernst Rosenfeld, dalej Roda Roda czyli drugi Fr. Rosenfeld, Stefan Frichsen, inaczej Leo Moysewicz, Felix Salten (Salzmann), Leon Rode, a to jest zwyczajny Rosenzweig, Sling a właściwie to on Schlesinger, L. Eschwege, a onemu Levy, M. W. Norden, a on się nazywa Max Wittenberg, z Blumenreicha wykwitł rodowity Niemiec Hellmuth Wille, z Korna zrobił się York, z Nathana — Palmer, a zaś z Israela — Seiler. Podobnie jak u nas z Wassercuga powstał szlachecki Wasowski, z „blata“ czy „berga“—Drzewiecki i inne Pompery, Napierscy, Prędscy i t. p. szlachta palestyńska. Podobna maskarada nietylko wprowadzała w błąd, ale także słusznie irytowała Niemców.

## LITERATURA I SZTUKA

Teatr niemiecki opanowany był przez Żydów, jako przedsiębiorstwo i jako sztuka. Reinhardt i Piscator—nadawali ton, wyraz sztuce teatralnej w Niemczech, wśród aktorów pseudonimy maskują żydowskie pochodzenie. Teatr niemiecki uległ zepsuciu i spaczeniu właśnie wskutek tego najazdu żydowskiego. Teatrzyki, wzięte w pacht, uległy zupełnemu wypaczeniu, wynaturzeniu, przeważnie nic wspólnego ze sztuką nie mają. Kinematograf również opanowali Żydzi. W wyniku Niemcy otrzymali film uświadamiający i seksualizujące farsy i operetki oraz propagandę wszelkich zboczeń erotycznych za pomocą muzy podkasanej.

W sztuce panuje stary Max Liebermann, prof. akademji, wyróżniany, nagradzany, dekorowany, a grunt, że spowinowacony z Warburgiem, oraz P. Cassirer, *Kunsthaendler*, przytem miljoner, prowadzący salon polityczny, w którym Żydzi i Żydówki epatowali aryjczyków komunistycznemi nastojami. Ten salon był jednocześnie kuźnicą wpływów, z której rozchodziły się dyrektywy żydowsko-masońskie. Wpływami sięgał Cassirer poza Niemcy, podobnie jak pani Valentin, egerja polityczna wielu niemieckich polityków i mężów stanu, niezwykle przytem ustosunkowana, której salon nietylko pomagał polityce niemieckiej, ale służył wyższym celom żydowskim. Podobną rolę odgrywał w świecie dziennikarsko-politycznym prof. L. Stein, przez długi czas redaktor miesięcznika „*Nord und Sued*“.

Max Liebermann wpływami swemi wybiega daleko poza granice sztuki malarskiej. Cassirera mianowano komisarzem państwowym na propagandowej wystawie sztuki niemieckiej w krajach neutralnych. Jako referenta sztuki niemieckiej w ministerjum

spraw zagranicznych, a więc na odpowiedzialnem propagandowem stanowisku osadzono Rob. Breuera, który nazywa się właściwie Friedlaender, kierownikiem zagranicznego muzeum niemieckiego w Stutgarcie został Fritz Wertheimer z „*Frankfurter Zt*". Gdzie tknąć, na odpowiedzialnych, czołowych stanowiskach, albo prof. Bie, albo prof. Stettiner, albo Saenger, lub Engel czy też Goldbaum. W prasie, w ministerjach, w urzędach, muzeach, akademjach, uniwersytetach, teatrach, konserwatorjach, przeważnie Żydzi, profesorowie od muzyki, kapelmistrze także, krytycy również. Niemcom zaczynało byś ciasno i duszno.

Literatura? Nasamprzód był Lessing, pisarz żydowsko-masoński, który ze swemi sądami i opinjami zaciążył nad literaturą niemiecką przez stulecie. Potem był komplecik filozofów Żydów, a wreszcie Młode Niemcy czyli: Chaim Bueckeburg znany w literaturze jako Henryk Heine, dalej Boerne, Gutzkow... Tak się to zaczęło, a teraz w literaturze cała falanga nazwisk czy pseudonimów, ukrywających Żydów, popieranych przez domy wydawnicze niemieckie, przeważnie opanowane przez kapitał żydowski lub kierowane przez Żydów. Publiczność otrzymuje książkę Rodericha Felsa, o której trąbią wszystkie trąby propagandy żydowskiej, a to zwyczajny Rosenfeld, na półkach zjawia się rozreklamowane dzieło Muszkowskiego czy Buerger'a a to pospolity Muszkat albo Lubliner. Długi czas rynek wydawniczy niemiecki był pod hypnozą narzucanego Ludwiga Cohna, obu Zweigów i wszelakich Doeblinów, Schickele'ów i im podobnych Żydów. Księgarnie nakładowe, których większość oparta jest o kapitał żydowski albo od niego uzależniona, i zażydzona prasa poprostu zasuggerowały cały szereg nazwisk czytającej publiczności, nazwisk mniej lub więcej zręcznie ukrywających Żydów, często nawet niewychrzconych, robiących w literaturze niemieckiej, w krytyce, w teatrze w sztuce. Te trąby reklamy żydowskiej, rozporządzającej skomplikowaną a liczną aparaturą propagandy, narzuciły *via* język niemiecki tych autorów żydowskich i innym narodom. Wepchnięto ich przedewszystkiem na rynek czytelniczy polski, przez wydawnicze firmy żydowskie lub z żydami związane, pracujące anonimowo, jak Renaissance, Rój, Panteon i t. p. nie mówiąc,że w wielu wydawnictwach kapitał żydowski działa za kulisami. Zrozumiałe, że jeden z pisarzy żydowskich, mianowicie Moritz Goldstein ośmielił się napisać w „*Kunstwart*", iż duchowym dorobkiem Niemiec rządzą Żydzi. Niemcom zaczynały być coraz ciaśniej, duszniej i — nieznośnie.

(Dok. nast.) MICHAŁ WIŚNIEWSKI

# NIEMIECKA LITERATURA POLITYCZNA O GÓRNYM ŚLĄSKU

W PSEUDONAUKOWEJ literaturze niemieckiej ostatnich czasów niejednokrotnie zanotować można, że pod szatą naukową przemyca ona tezy niemieckiej polityki zagranicznej, dążące do rewizji obecnej granicy na Górnym Śląsku. Szczególnie charakterystyczną jest pod tym względem książka d-ra H. Nicolai'a [1]). Górny Śląsk jest dla niego problemem walki o niemiecką kulturę, o panowanie człowieka rasy nordycznej. Autor twierdzi, że już na 5.000 lat przed Chrystusem władali Śląskiem Germanie. Około 3.000 lat przed Chrystusem zajęli Śląsk ludzie czystej rasy nordycznej. Przewalały się następnie przez ten kraj różne inne szczepy germańskie, najdłużej zaś dzierżyli go Wandalowie. Nazwa Śląska pochodzi od szczepu wandalskiego Silingów, którzy zamieszkiwali kraj od II wieku przed Chrystusem. Około VI wieku po Chr. wdarli się na Śląsk słowianie, i to mianowicie Lechici. Idąc daleko z nad Dniepru, przynieśli z sobą sporo krwi mongolskiej. Czasy historyczne polskie zastają Śląsk, złączony z ziemiami polskiemi, ale już w XII wieku powstaje silne parcie ku niemczyźnie. Piastowie, będąc normandzkiego pochodzenia (-(!)-), jako tacy, mają już w sobie sporo krwi germańskiej. I odtąd, według autora, germanizacja postępowała coraz dalej, aż dopiero t. zw. „polityczny katolicyzm" wprowadził dywersję. Ze względów wyznaniowych popiera on katolickich Polaków przeciwko protestanckim Niemcom.

Właśnie katolicyzm doprowadził do chwilowej katastrofy niemczyzny na Śląsku. Ale katastrofa ta jest już, zdaniem autora, zupełnie zażegnana.

Z butą iście pruską autor twierdzi, że zagrożenie niemczyzny na G.-Śląsku przez Polaków śląskich jest wykluczone. Przeciwnie—należy przewidywać, że w ciągu 20—30, najdalej 50 lat nie będzie na Górnym Śląsku niemieckim już w zupełności języka „*wasser polnisch*". Proces germanizacyjny posuwa się naprzód tak szybko i żywiołowo, że choćby nawet sami Niemcy tego chcieli, nie możnaby go już powstrzymać (str. 94). Ze stanowiska politycznego uważa dr. Nicolai za rzecz niebezpieczną mówić o jakiemś niebezpieczeństwie polskiem, ponieważ świat mógłby mniemać, że Śląsk niemiecki jest niemiecki tylko w połowie i że istotnie istnieje tam polska „*irredenta*".

Należąca do Polski część Śląska popada w coraz większe zaniedbanie i Polacy niewątpliwie doprowadzą go do upadku (-(?!)-). Rasa polska, zmieszana silnie z mongolską, sprawia, że Górnoślązacy są wśród ludności Niemiec elementem najmniej wartościowym (str. 98). Karalność wśród Górnoślązaków jest największa (-(autor nie przytacza jednak, że ta „karalność" nie jest spowodowana zbrodniami i przestępstwami kryminalnemi, a przedewszystkiem — irredentystycznemi)- ).

Powstania śląskie tłumaczy Nicolai ruchem nisko wartościowej rasy słowiańskiej przeciwko rasie nordycznej, której reprezentantami byli urzędnicy, kierownicy przedsiębiorstw przemysłowych i inni rdzenni Niemcy. Kwestja rasowa niepokoi bardzo autora, ponieważ obawia się, że wysoko wartościowa rasa niemiecka zostanie obniżona zbyt

[1]) Dr. Helmut Nicolai „*Oberschlesien im Ringen der Völker*", Breslau 1930.

silnym dopływem znacznie intensywniej rozradzającej się ludności Górnego Śląska, należącej do rasy niższej, słowiańskiej.

Dość objektywną i w niektórych częściach wręcz rewelacyjną jest książka Rudolfa Vogla [2]), z której dowiadujemy się, że już w pierwszej połowie 1919 r. organizowano tłumne manifestacje niemieckie, mające wpłynąć na decyzję Konferencji Pokojowej. Autor podnosi niepoślednią rolę rabinów górnośląskich (-(*sic!*)-), za pośrednictwem żydowskich lóż masońskich wpływających skutecznie w kierunku przeciwpolskim na otoczenie Wilsona i Lloyd George'a. Sekundowali im w tem dzielnie protestanci niemieccy za pośrednictwem ściśle zaprzyjaźnionych z sobą protestantów szwedzkich, w szczególności arcybiskupa Söderbloma, urabiając w Anglji opinję nieprzychylną Polsce. Ciężki przemysł finansował rozliczne antypolskie posunięcia zagranicą. Ta akcja wywarła decydujący wpływ na zmianę pierwotnego projektu konferencji pokojowej przyznania całego Górnego Śląska Polsce. Autor twierdzi, że jedynym sposobem pozyskanie Górnoślązaków dla sprawy niemieckiej w sposób decydujący mogło być tylko przyrzeczenie nadania krajowi charakteru państwa związkowego.

Analizując proces germanizacji, uważa za czynnik niekorzystny dla rozwoju, a raczej szybszego zapanowania na Śląsku niemczyzny—istniejące tam wielkie nierówności społeczne. Z jednej strony mali rolnicy i robotnicy rolni, z drugiej — właściciele olbrzymich latyfundjów, ci Polacy, tamci Niemcy; z jednej strony szara masa polska górników i robotników przemysłowych, z drugiej Niemcy — bogaci właściciele przedsiębiorstw, wysocy urzędnicy przemysłowi. Autor konkluduje, że bezwzględnie błędnem pociągnięciem rządu pruskiego było posyłanie na Śląsk urzędników protestanckich, w których ludność katolicka, stanowiąca 90% ogółu, widziałą element dla siebie obcy. Nie pochwala również stosowanych wobec Polaków metod germanizacyjnych, uważając je za niecelowe, a nawet szkodliwe. Kreśli przebieg walki językowej, przyczem podkreśla stanowisko ks. kardynała Koppa, wrogie akcji polskiej. Krótko i przejrzyście przedstawia akcję narodowo - polityczną polską w ostatnich kilkunastu latach przed wojną. Nie pochwala szerzonego przez „*Ostmarkenverein*" argumentu o wielkiej różnicy, istniejącej pomiędzy językiem polskim, literackim, a „*wasserpolnisch*". Stwierdza, że stosunek języka literackiego polskiego do polszczyzny górnośląskiej jest taki, jak jakiegoś djalektu niemieckiego do języka niemieckiego pisanego. Władze niemieckie czyniły wszystko, ażeby dla kultury niemieckiej ludność pozyskać, jakkolwiek równocześnie zrażały ją hakatyzmem, jakiego symbolem był prezydent rejencji von Schwerin i radca szkolny dr. Küster. Górnoślązacy okazali się w czasie wielkiej wojny wiernymi obywatelami i najlepszymi żołnierzami niemieckimi. Ale okres wojenny wniósł w szeregi polskie dalsze rozgoryczenie. Tysiące bowiem robotników przemysłowych i górniczych zostało reklamowanych z wojska do pracy w kopalniach i przemyśle śląskim dla potrzeb wojennych. Prawo reklamacji przysługiwało sztygarom i inżynierom. Był to okres niesłychanego szykanowania Polaków, którzy w wypadku najmniejszego sprzeciwu zostawali decyzją niemieckiego sztygara czy inżyniera odsyłani z powrotem do wojska i na front. Temu momentowi przypisuje autor bardzo poważne znaczenie, uważając go za największy powód do nienawiści przeciwko Niemcom, jaka w okresie plebiscytowym się ujawniła.

W każdym razie, książka, chociaż niedoskonała pod względem naukowym, jest cennym przyczynkiem, dość objektywnym w odmalowaniu czynników, składających się na plebiscyt górnośląski.

O słabnięciu polskości na terenie Śląska Opolskiego pisze dr. Rudolf Küster [3]). Autor twierdzi, że polskość na Górnym Śląsku niemieckim w ostatniem dziesięcioleciu słabnie coraz bardziej, co tłumaczy wyższą kulturą niemiecką, działającą atrakcyjnie. Potępia politykę, wyrażającą się w bezprawiach i gwałtach, dokonywanych nad ludnością górnośląską, co właśnie wpłynęło na to, że garnący się dobrowolnie do niemczyzny (-(?!)-) kraj został zniechęcony i dlatego były możliwe polskie powstania oraz rozdarcie jedności kraju (str. 38). Dr. Küster był do 1918 roku kierownikiem Wydziału szkolnego i wyznaniowego Rejencji Opolskiej i jego działalność była zwalczana przez Polaków i katolickie centrum, które go, jako hakatystę, uważało za szkodliwego dla dobra niemczyzny na Śląsku.

Miarą jego popularności jest nazwa, jaką mu nadano: „*Das deutsche Gewissen Oberschlesiens*" (niemieckie sumienie Górnego Śląska).

W omawianej książce autor jest niekonsekwentny, gdyż wzywa władze do ostrzejszego kursu wobec Polaków. Trzeba zabrać się do szkolnictwa mniejszościowego. W razie zamierzonego np. otwarcia szkoły mniejszościowej, winni *Landrat* i inspektor szkolny wyjaśnić ludności na miejscu brak potrzeby jej uruchomienia (str. 149). Trzeba wogóle zerwać z pruską tolerancją. Polityka tolerancji, zapoczątkowana przez biskupa Bogedaina, doprowadziła w konsekwencji do podziału Śląska. Trzeba z nią zerwać raz na zawsze, inaczej bowiem doprowadzi się do wzmocnienia polskiej irredenty i usiłowań polskich oderwania reszty Górnego Śląska, z czem autor zupełnie poważnie się liczy. To też autor zapytuje rząd pruski, czy dążenia irredentystyczne polskie weźmie pod uwagę w rozmowach dyplomatycznych, jakie zostaną wkrótce wdrożone, celem zrewidowania granicy wschodniej na rzecz Niemiec (-(!?)-).

Mimochodem wspomnę o wydawnictwie, jakie ukazało się niedawno, mającem być obrazem „sytuacji, w której całkiem nieromantycznie pędzą życie Niemcy na polskim Śląsku" [4]). Otóż w rozdziale o żydach, M. Willner pisze, że struktura gmin wyznaniowych żydowskich na Śląsku uległa zupełnej zmianie z powodu nieodpartego wpływu „wschodnich elementów".

Podnosi wierność i przywiązanie żydów do niemczyzny, wyrażające się w popieraniu *Volksbund*'u i wszystkich organizacyj niemieckich, zarówno politycznych jak kulturalnych.

Tą lojalnością „narodu wybranego" na polskim Śląsku winien się zająć wojewoda Grażyński, „ekspert" spraw górnośląskich w obozie „sanacji".

LUDWIK ŁAKOMY

[2]) Rudolf Vogel: „*Deutsche Presse und Propaganda des Abstimmungskampfes in Oberschlesien*". Beuthen 1931.

[3]) „*Die polnische Irredenta in West-Oberschlesien*" Berlin, 1931.

[4]) „*Das Deutschtum in Polnisch Schlesien*" *herausgegeben von V. Kander. Plauen, 1932.*

# O PEWNEM „ARCYDZIELE“ WSPÓŁCZESNEM

WE FRANCJI powojennej przychodzi na świat, rok rocznie, conajmniej kilka „arcydzieł“ powieściowych: Akademja Goncourt'ów rodzi swoje, „*Femina*“—swoje, „*Prix Renaudot*“ także, i t. d.

Te sezonowe „arcydzieła”, — wśród których trafiają się niekiedy rzeczy bardzo dobre, częściej jednak są one przereklamowane — zażywają głośnej sławy co najwyżej przez rok, do czasu ogłoszenia nagrodzonych powieści w roku następnym, poczem schodzą w cień, z którego rzadko wychodzą.

Najpewniej podobny los czeka powieść L. F. Céline'a „*Voyage au bout de la nuit*“ (ostatnia nagroda „*Prix Renaudot*“), tymczasem jednak rozeszło się już jej, w przeciągu paru miesięcy, sto kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy zgórą, a pierwszorzędne pióra Francji mówią wciąż o niej z niezwykłym podziwem i entuzjazmem. Oto, dla przykładu, parę głosów: uroczyście głęboki poeta, P. Valéry, nazywa powieść Céline'a „kryminalnem arcydziełem“; największa poetka współczesna, hr. de Noailles, nie waha się powiedzieć, że ją „oczarowała, pomimo swej straszliwej i odrażającej brutalności, Fr. Mauriac wyraża się w ten sposób: „ta książka dusząca, której czytania nie trzeba nikomu doradzać“... Bernanos i Leon Daudet podziwiają głównie bogactwo i siłę języka, jakim powieść jest pisana; E. Marsan tak mówi: „Dante w porównaniu (z autorem) jest naiwny, Zola idyliczny, a Lawrence czysty w swoich przedstawieniach rzeczy, etc.

Aczkolwiek opinje powyższe pochodzą od ludzi, znających się na wartości dzieł literackich, są one jednak cokolwiek przesadzone, i tylko opinja Fr. Mauriac'a odpowiada, podług mnie, najbardziej rzeczywistości, w istocie bowiem podczas czytania tej niezwykle długiej powieści (613 str.) często doznaje się uczucia, jakby się stało nad jakąś ogromną kloaką, skąd wydzielają się piekielnie cuchnące — dławiące i duszące gazy.

Cuchnie tu moralnie świat ludzki, świat istot plugawych, budzących wstręt i grozę, nietyle z powodu swych czynów kryminalnych — te bowiem nie wstrząsają jakąś wyjątkową dramatycznością— ile wskutek tego, że ich sposoby czucia i myślenia wyrażają gruntowne spodlenie natury ludzkiej, a każde ich spojrzenie na świat i życie — tchnie, właśnie, dławiącemi wyziewami dusz gnijących, psychicznie—„źle pachnących“.

Ich brutalność jest prawdziwie „straszliwa i odrażająca“, nie może bowiem na swoje usprawiedliwienie powołać się na burzliwą krew i gwałtowność temperamentu; jest ona tu bardziej wewnętrzna, jest jak syk gadziny, jak cynizm myśli jednostki wyzutej z wszelkich gorących, namiętnych uniesień, z wszelkiej ekstazy. Zachowaniem się swojem względem swego otoczenia, przypominają oni pewne smrodliwe zwierzęta, broniące się w ucieczce znanemi sposobami.

Główna osoba „Podróży na schyłku nocy”, jej „bohater”, opowiadający tu dzieje swej wędrówki po świecie w czasie wojny i w latach następujących po niej, przypomniał mi jedną z najwstrętniejszych postaci genjalnych „Braci Karamazowych“ Dostojewskiego, mianowicie nikczemnego Smierdiakowa. Ten bowiem Bardamu z powieści Céline'a, tak samo jak Smierdiakow, patrzy na wszystko i wszystkich, spotykanych w wędrówce swojej, oczyma człowieka, który jest zdania, iż cały świat zawinił względem niego... Stąd stosunek jego do świata, do rzeczy i ludzi, jest jakąś *sui generis* „smierdiakowszczyzną”, z tą tylko różnicą, że u Dostojewskiego ma ona charakter demoniczny, ohydnie wielki, natomiast u naszego autora tchnie monotonną płaskością i małością.

Dostojewskiego bohater (co zresztą często im się zdarza u tego autora) nie wytrzymuje nędzy swej duszy „lokajskiej“—i wiesza się, bohater powieści francuskiej z całą swoją mizerją duchową jest zżyty doskonale i przetrwa wszystkich, gorszych i lepszych od siebie. Do takiej, niezachwianej niczem, mocy, doszła snać „smierdiakowszczyzna” duchowa zachodnio - europejska. „Podróż nasza — powiada autor na wstępie — jest całkowicie imaginacyjna. W tem jej siła.“ To prawda! wyrazem nielada siły jest stwarzanie historji fikcyjnej z samego niemal kału i brudu istnienia ludzkiego: pierwsza lepsza wyobraźnia na coś podobnego by się nie zdobyła. Wprawdzie autor jest zdania, że każdy może zrobić to samo—„dość tylko zamknąć oczy“... Otóż to!

Tylko z zamkniętemi oczami można brnąć przez bagno we wszystkich kierunkach i nie móc znaleźć z niego wyjścia na grunt cokolwiek pewniejszy. Autor robi tak, jak chce: zamyka oczy i oddaje się igraszkom swej wyobraźni, nie dbając o to, co z tego wyjdzie? Inaczej czytelnik. Ten oczu nie zamyka, wobec tych lub innych fikcyj i pyta, czy gra wyobraźni autorskiej ma wogóle jakiś sens, do czego prowadzi? Tembardziej ma prawo o to pytać, gdy ktoś, za sprawą szczególniejszej wyobraźni swojej, pakuje go po szyję w błoto, i każe mu w niem przebywać od początku aż do końca własnej podróży imaginacyjnej.

Z zapytaniem tego rodzaju nie jeden może się zwrócić do autora „Podróży na schyłku nocy“, w jej bowiem panoramie ukazują się często rozmaite spelunki, gdzie się przesuwają niepokojące i budzące trwogę cienie ludzkie. Po co je więc przesuwa autor przed wzrokiem naszym? Czy wierzy w nie, czy sądzi, że należy niemi wstrząsać ducha naszego?

Zola, gdy pisał swój cykl powieściowy „Rougon Maquart'ów“, wierzył, iż kreśli prawdziwe dzieje pewnej rodziny z epoki drugiego Cesarstwa; Octave Mirbeau, gdy z właściwą sobie zawziętością brutalną demaskował i piętnował nędze oraz fałsze obyczajowe pewnych sfer burżuazji 3-ciej Rzeczypospolitej—wierzył święcie, iż taką w istocie była rzeczywistość, jak ją przedstawiał, etc., etc....

Autor zaś „podróży“ czy wierzy w to wszystko, co pozwala głosić o ludziach oraz ich życiu we Francji w okresie wielkiej wojny i potem—pewnemu tchórzliwemu nicponiowi, który wszystko i wszystkich miesza z błotem, wszystkich cynicznie bezcześci i traktuje tak — właśnie — „jakby względem niego zawinili“, wskutek czego gardzi nimi i ma ich za ostatnie szuje, co zresztą nie przeszkadza mu żerować wśród nich, jak się zdarzy sposobność, i na nich pasorzytniczyć?

Czy autor wierzy w mądrość tego osobliwego „filozofa“ (jakim jest ów Bardamu), który we wszelkich okolicznościach dba ponad wszystko o własne

„flaki“, jak się wyraża, a ich wypełnianie uważa za jedyny cel istnienia ludzkiego?

Jeśli tak jest, to „podróż“ jego nie jest tylko dziełem czystej imaginacji, i odbyła się ona z „otwartemi oczyma“, słowem, że autor patrzał nie na same fikcje, że widział jakieś rzeczy prawdziwe i na nie pragnął zwrócić uwagę innych.

Byłoby bowiem prawdziwie kryminalną igraszką, gdyby autor dla własnej zabawy zmyślał rzeczy niestworzone na rachunek swoich bliźnich i, tylko z tego powodu, żywił dla nich uczucia marne i myślał o nich podle.

A są tu ciągle prawdziwie potworne sądy i spostrzeżenia o nich. Dla przykładu przytaczam jedno z licznych: Bardamu, jegomość o króliczem sercu, dostał się z frontu „na tyły“, do Paryża, i tam rozważa życie cywilów w ten sposób: „Na tyłach dziedziczono po kombatantach, prędko nauczono się jak znosić sławę w sposób godny i odważnie, nie doznając cierpień. Matki, niekiedy w roli pielęgniarek, albo męczennic, nie porzucały wcale swoich długich i ciemnych woalów, zarówno jak i małych dyplomów, otrzymanych w porę od ministra. Wszystko się jakoś układało. Podczas pogrzebów jest się również smutnym, mimo wszystko jednak myśli się o spadku, o wakujących posadach, o ładniutkiej wdowie, która, jak powiadają, ma temperament, a także o tem, by żyć jeszcze samemu, dla kontrastu, bardzo długo, by nie zdechnąć nigdy być może... Kto wie? Gdy tak idzie się za orszakiem pogrzebowym, wszyscy przesyłają wam głębokie ukłony. To sprawia przyjemność. W takich chwilach trzeba zachować się godziwie i nie żartować głośno, a tylko radować się wewnętrznie. To jest dozwolone. Wszystko można wewnątrz siebie“... (str. 61).

Jeżeli autor pozwala tak marnej figurze, jaką jest ów Bardamu, przybierać podobnie wzgardliwą postawę wobec własnego społeczeństwa, — pozwala w ten sposób mu urągać i szydzić z niego — i to w okresie jego wielkich cierpień i ciężkich przeżyć, to niejeden mógłby stąd wywnioskować, że widocznie stan jego moralny wówczas przedstawiał się bardzo opłakanie i upoważniał do tego rodzaju osądów.

Gdybyż nadto chodziło tu o jakąś jedną scenę, jak powyższa, o jedno spostrzeżenie niekorzystne! Ale nie, od podobnych uwag i uogólnień roi się w tej zjadliwej, chwytającej wciąż czytelnika za gardło i duszącej go—książce.

Więc jakże? Jest-że to fikcja, stwarzana z zamkniętemi oczyma, czy też widziana przez nie rzeczywistość? A może to ani jedno, ani drugie, tylko poprostu „literatura“, jakiś popis literacki na zgóry powzięty temat zorganizowania z przeróżnych odpadków ludzkich, z podłostek i świństewek wszelakich, imponującego śmietniska społecznego?

Zdaje się, że to ostatnie przypuszczenie będzie najbliższe prawdy, powraca bowiem moda na tego rodzaju zadania literackie.

Jedna z osób, występujących w tej książce, stary psychjatra Baryton, tak charakteryzuje stan umysłowości naszych czasów: ...„początkiem końca wszystkiego jest brak miary“—rozumuje ten filozof.— „Zaczęło się to od fantazji umiaru, od cudactw przesadnych... Zaczęło się to około 1900 roku. Jest to data. Od tej chwil rozpoczął się w całym świecie wyścig ogólny w tym sensie — kto stanie się najbardziej przewrotnym, najoryginalniejszym, najbardziej odrażającym, bardziej twórczym, jak się mówi, od swego kuma!... Piękna sałata!..“ W istocie — „piękna sałata“ z wszelkich cudactw przesadnych rozrasta się bujnie za naszych czasów na grzędzie literackiej. Zachciało się najpewniej i autorowi „Podróży“ tego rodzaju „pięknej sałaty“, piękniejszej, niż u sąsiada, wziął więc udział w powszechnym wyścigu twórczym i nie dał się nikomu zdystansować. Wygrał — swoim rozmachem twórczym zadziwił wszystkich! Czarowi jego talentu uległa urocza poetka, znakomici członkowie Akademji francuskiej do arcydzieł zaliczają jego powieść, miłośnicy mowy ojczystej zachwycają się potęgą jego słowa. Nieznany dotychczas autor od pierwszego kroku, za jednym zamachem—wzniósł się na szczyt uznania i powodzenia! To już nieraz bywało. Ale czy pozostanie tam nadługo, czy podziw powszechny dla jego dzieła nie ustanie z końcem sezonu?

Jak tam będzie — dowiemy się, raczej prędzej, niż później. Jedno wszakże jest pewne, że dzieło autora nie zostawia czytelnikowi po sobie żadnej trwałej pamiątki, niczego takiego — żadnej drogiej postaci, do której wciąż się tęskni i ciągle się powraca, żadnej sceny tak wzruszającej, że wciąż odtwarza się ją w duchu, choćby go nękała i rozdzierała—z czemby się czuł zespolonym na długo, jeśli nie na zawsze.

Tego rodzaju „pamiątki“ zostawiają nam tylko prawdziwe arcydzieła. Z „podróży na schyłku nocy“, jaką odbywamy wspólnie z autorem, nic nie pozostawiamy dla siebie na pamiątkę, przeciwnie to, co, wbrew nam samym, wciska się do duszy naszej, ten osad, jaki w niej się gromadzi, radzi jesteśmy wyrzucić jaknajprędzej, a z zaduchu wyziewów nocnych wychodzimy na końcu podróży z jedynem pragnieniem — odetchnięcia świeżem, zdrowem powietrzem.

Tego rodzaju usposobienia nie wróżą owemu „arcydziełu“ długiego żywota.

Podobno, jak utrzymują znawcy, językiem swoim ma się ono zapisać osobliwie w dziejach literatury francuskiej. Nie mamy prawa o tem sądzić, na to bowiem trzeba znać dobrze dzieje rozwoju języka francuskiego, i czem tu może je wzbogacić język „Podróży na schyłku nocy“. W istocie odznacza się on przedewszystkiem niezwykłą dosadnością i, bez ogródek, nazywa rzecz każdą po imieniu; jest wszakże raczej grubijański niż jędrny, a przytem, wskutek ciągłego powtarzania jednych i tych samych zawiesistych wyrazów, w końcu powszednieje i staje się nużąco monotonnym. Dziwić tu może, iż językiem tym, który jest swobodną mieszaniną mowy prostego ludu z mową wszelkich mętów wielkomiejskich, stale mówią jednostki z wykształceniem uniwersyteckiem (lekarz Bardamu).

Włada autor językiem swoim z niepospolitą wprawą i swadą, ale tak się często tem unosi, że mówi nieraz bez końca, gdy niewiele ma do powiedzenia, co też sprawia, że krople oryginalnych uwag, bystrych spostrzeżeń i niebanalnych myśli giną w morzu czczej paplaniny, niewiele znaczącego rozprawiania z byle powodu. To wszystko powiększa znacznie rozmiary dzieła, nie wzbogaca wszakże jego treści wartościowej i nie przyczynia się do wzmocnienia impresji artystycznej czytelnika.

Słyszałem, że powieść F. Céline'a ma być przełożona na polski. Nie wiem, czy tłumacz wybrnie z trudności językowych, z jakiemi co krok tu się spotka, w każdym razie zamiar tłumaczenia dość znamienny: mamy widocznie jeszcze zamało bagna własnego, pilno więc nam zaczerpnąć go więcej z obcego źródła. WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

# NA WIDOWNI

Na święconem u konserwatystów. — Jak to p. Sieroszewski robił wiosnę ludów rosyjskich, nie wyłączając Polski. — Stańczycy są już postępową demokracją. — Legendy o literaturze i chryzantemach. — Który naród dla siebie wybrać?

KTO ma już trochę wiosen poza sobą, ten byle czemu się nie dziwi, wszakże przyznać musi, że imponuje mu chaos, panujący teraz wśród inteligencji w światku „postępowym". Postępowym nazywam ten świat, który się przeciwstawia obozowi konserwatywnemu—narodowemu.

Podziwiałem np. świąteczny numer dawnego stańczykowskiego „Czasu". Istne święcone staropolskie, biorąc na oko, ale jakże odmienna strawa. W owym dzienniku Koźmianów, Dunajewskich! Tarnowskich, arc. Puzyny, Bobrzyńskiego, wreszcie Estreicherów—mamy obecnie Wacława Sieroszewskiego, Gliwica, Tuwima, Pawlikowską-Jasnorzewską z „Wiadomości Literackich" i szereg artykułów ku czci bohaterów 1905 roku. Czytując w „Czasie" takie fejletony, jak „Wojenko, co żeś ty za pani", albo innych szereg, zawierających przyczynki do życiorysu Piłsudskiego, podziwiamy młodzieńczość tego organu. Ani śladu siwych włosów—wiosna! Rzekłbyś: pierwsza brygada.

W jaki sposób odmładza się hasłem walki z „nacjonalizmem" międzynarodówka, znajdujemy dowód w opowiadaniu W. Sieroszewskiego. Przypomina on sobie, że w początkach wojny rosyjsko-japońskiej (a więc dajmy na to w r. 1904) młodzi byli tylko socjaliści. Zabierali się oni wtedy do t. zw. postępowej demokracji, na początku mieli odmładzać tych bliskich krewniaków. Zebranie było konspiracyjne w Warszawie w prywatnem mieszkaniu. Nazwisk swoich nie wymieniano, sporo było pseudonimów, na pierwszem miejscu: Ziuk.

„Ziuk" w dłuższej mowie wyłożył program. Dużą rolę odgrywał tam dr. R. Radziwiłłowicz, jak wiadomo mistrz loży wolnomularskiej. Sieroszewski pisze dalej:

„Po niejakim czasie już bezpośrednio od niego (Ziuka) otrzymałem nakaz wzięcia udziału w organizowaniu Postępowej Demokracji. Bardzo mi się to nie podobało, lecz wytłumaczono mi, że zadaniem mojem oraz innych członków P.P.S., „wypożyczonych" Pedekom, jak np. Dr. R. Radziwiłłowicz, jest wprowadzenie elementu zwykłej „fizycznej odwagi" do tego grona zacnych mężów, walczących z niezmierną odwagą z wszelkiemi autorytetami, nawet z Panem Bogiem, ale śmiertelnie obawiających się... „stójkowego".

Na razie „polecono" socjalistom i „pedekom" robienie ruchu koło idei „autonomji". Na jednem z zebrań referował tę sprawę A. Świętochowski. Sieroszewski z komiczną pogardą mówi w tem miejscu o „endekach":

„Endecy wypierali się nawet myśli o autonomji, jak następnie wypierali się myśli o niepodległości".

Ach, ci endecy, nigdy nie mieli krzty patrjotyzmu, ani rozumu politycznego! Nie chcieli iść za Sieroszewskim, ale on sam do dziś dnia nie wie, za kim szedł. Wysoce z siebie zadowolony pisze dalej:

„Dużom się" — powiada — „napracował wtedy, gdyż jako „autonomista" musiałem jeździć na zjazdy do Moskwy i Petersburga i tam organizować „Federację narodowości przez Rosię uciemiężonych": Gruzinów, Ukraińców, Ormian, Tatarów, Litwinów, Łotyszów i t. d., którzy wówczas jeszcze pisnąć się nie odważyli o cieniu politycznej niezależności i żądali jedynie równouprawnienia kulturalnego".

Tyle spraw mieć na głowie: nie tylko polską, ale równorzędnie gruzińską, ormiańską, łotewską—tyle narodów wyzwolić — to zaiste praca Tytana.

— Napracował się ja zdrowo. Dużo narodów oswobodził, nawet Polsce za jednym zachodem dał niepodległość. Poszczęśliwiło się. A endeki zawsze były wrogami demokracji: marzyła im się stara Rzeczpospolita szlachecka w dawnych granicach, oglądali się na Wielkopolskę, Pomorze. Moskalofilstwo nie pozwalało im stawiać Polski narówni z zagadnieniem Ormian, walczyć z caratem i wyzwalać bratnie narody. Ach, retrogrady, burżuje!

Mniejsza zresztą o Sieroszewskiego. Mówimy o tem, że wówczas przed 30 laty socjaliści bywali na święconem zaledwie u postępowej demokracji; po rewolucji majowej te same żywioły są już mile widziane u konserwatystów. Jest postęp.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nadeszły czasy jawności. Nie można już ukrywać, że świat się skrąża koło dwu ognisk: z jednej strony konsolidują się żywioły, manifestujące życie narodu, przeciw nim zaś gromadzi się wszystko, co tylko udało się objąć skrzydłami masonerji. Wyjaśnił to znakomicie obu stronom Roman Dmowski w swojem ostatniem studjum publicystycznem „Oblicze dwudziestego wieku" (drukowanem w kwietniu w kilku dziennikach). Wyjaśnił on to, co się dzieje, obu stronom, bo ludzie po tamtej stronie bodaj najmniej mają świadomości dziejowej.

Przed wojną jeszcze Dmowski zwracał uwagę konserwatystom, że nie wiedzą, coby mieli konserwować krom swoich ambicyj utrzymania się przy wpływach, że szukają „chwilowego ocalenia w sojuszu z ruchami klasowemi i wszelakiego rodzaju politycznem kondotjerstwem", że „chcąc się utrzymać przy sterze spraw narodowych, zaczęli się zaprzyjaźniać z rewolucją, ażeby w sojuszu z nią położyć tamę rozwojowi t. zw. nacjonalizmu, który u nas jest niczem innem, jak usiłowaniem uzdolnienia narodu do skutecznej walki o jego byt i o jego interesy w nowoczesnych warunkach"[1]). Walczą więc dalej z nacjonalizmem, ale gdzie komenda, gdzie sztandary? Jedno im tylko zostało z tradycyj — urządzanie obiadów „Czasu" i ot takich „święconych". Politykę robią pułkownicy, opinję i kulturę „Il. Kurjer Codzienny" i „Wiadomości Literackie".

— — — — — — — — — — — — — — —

W każdym kraju fermenty mają swój przebieg swoisty. To jedno jest im wspólne, że każdy naród musi się bronić od zagłady i politycznej i cywilizacyjnej, nie może oddać swego „Ja" na zatracenie w odmęt sfer, szukających dopiero swej świadomości, nadomiar rewolucyjnych, i z konieczności wpadających w krąg sformowanej już psychiki obcej. W Polsce są dwa ogniska psychiczne: jedno polskie, drugie żydowskie, działające przy pomocy masonerji. To drugie może dojść do zapanowania dopiero po całkowitem wyniszczeniu cywilizacji polskiej.

Szkoda tej pięknej, dziedzicznej, wrośniętej w ziemię i niebo cywilizacji. Cokolwiek się z nami stanie z powodu powszechnego kryzysu gospodarczego, to jednak daleko prostszy jest sposób pozostać w zgodzie ze swoją polską psychiką i urządzić się w ramach swej odwiecznej cywilizacji—

[1]) R. Dmowski: „Upadek myśli konserwatywnej w Polsce". Warszawa, r. 1914. Str. 194 i 199.

wedle stawu grobla,— niż przewracać wszystko po żydowsku, aby potem jęczeć pod gruzami, jak Rosja. Nie dziwię się konserwatystom, którzy zniszczyli sumienie lokajstwem, lub wypaczonej duchowo międzynarodówce, przesiąkniętej psychiką żydowską, ale przykry jest widok tej nielicznej, młodej inteligencji Polski odrodzonej, która się waży między prądami, zapierając się naturalnego węchu.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Jeżeli literatura jest jakimś wykładnikiem psychiki zbiorowej, to nic w Polsce nie wyraża dobitniej aspiracyj obozu, walczącego z narodowym, jak „Wiadomości Literackie". Jest to brygada, przeznaczona do niszczenia ducha polskiego rozpustą. Przyzwyczajano się do niej tak skutecznie, że kiedy Hitler zaczął od robienia porządku w sztuce i literaturze, ogarnęło Warszawę zdziwienie: „Patrzcie państwo „—zastanawiano się—" to taka ważna dziedzina!". A tak, to ważna dziedzina. Czemże stał się Berlin intelektualny za sprawą żydów, jak nie tem, co skoncentrowało się u nas, jak esencja, w tym warszawskim zaułku „literackim".

Dla ziemian i wogóle dla inteligencji są legendy, zaszczyty i loże, dla warstw robotniczych— komunizm, ale obyczajowość i obyczajność trzyma się konserwatyzmem i czystością kobiet. Na tę połowę społeczeństwa puszczono teraz zarazę — jak to nazwał „Przełom" — seksual-demokratyzmu. W „Wiadomościach literackich" wykładany jest teraz system uświadomienia seksualnego, w ścisłym związku z uświadomieniem antyreligijnem. Tenże organ wraz z P.E.N.-Klubem jest urzędowym propagatorem i reprezentantem twórczości polskiej zagranicą, wciągnięty jest integralnie w system rewolucji, mającej zburzyć cywilizację narodową. Warszawa zaś tak jest zażydzona, że nie protestuje przeciwko nazywaniu całej tej akcji komunistycznej „literaturą",a nawet nagradza jej firmanta nagrodą literacką, najzaszczytniejszym laurem, na jaki zdobyć się może.

Jeżeli o to potrącam, to bynajmniej nie dlatego, bym odmawiał nagrodzonemu Boyowi talentów lub zazdrościł mu groszy. Nagradza się nie osobistości, lecz ich widma społeczne; nagroda miasta przecież jest społeczną instytucją. Tutaj zwłaszcza miano na widoku całość działalności człowieka, który legendą literatury pokrywać pozwala jaknajszkodliwszą działalność społeczną. Zbyt łatwo dajemy się brać na legendy.

Religijność i czystość obyczajów to podstawa sił społeczeństwa. Od humanisty mamy prawo wymagać, aby to rozumiał. My, Polacy, nie powinniśmy do tego stopnia różnić się między sobą, aby jakiś odłam inteligencji poczytywał za rzecz dobroczynną organizowanie rozpusty, za zbrodniczą zaś organizowanie cnót obywatelskich. Bo czyż jest to wzmocnieniem społeczeństwa, gdy się zastąpi ligę Obozu Wielkiej Polski—Ligą poprawy obyczajów pp. Rubinrauta i Krzywickiej? Dosyć porównać programy. Nie wolno łamać stylu cywilizacji swego narodu na żądanie żydów i pokrywać tej roboty banderą swego nazwiska literackiego. W widmie społecznem t. zw. „dobrego smaku" istnieje odpowiednik: poczucie odpowiedzialności i hańby. I tego poczucia od humanisty mamy prawo wymagać.

— — — — — — — — — — — — — — — —

A żydzi z nas drwią. W gazetach po polsku wydawanych wypowiadają wojnę żydowską faszyzmowi na świecie, mając nasz rzekomy „faszyzm" na oku. A mają o co się oprzeć, kim się wyręczyć, dysponować mogą na skinienie siłą, przez nas samych im zapewnioną. Mają też tupet.

Żydowski „Nasz Przegląd", z powodu zapowiedzianego popisu sportowego „Makabi", przytacza słowa japońskiego męża stanu, wygłoszone po wygranej wojnie z Rosją:

„Dopókiśmy unikali wojny, woląc w spokoju pielęgnować nasze chryzantemy — świat traktował nas jako *quantité negligeable.* Z chwilą zaś, gdy dowiedliśmy, że potrafimy nie tylko hodować kwiaty, lecz i z a b i j a ć, zaczęto nas szanować".

Stąd nauka dla żydów prosta: trzeba bić. Organ nacjonalizmu żydowskiego motywuje ją po swojemu:

„Tak, jak japończycy kwiaty, pielęgnowaliśmy piękne nasze ideały, nikomu nie czyniąc krzywdy, pragnąc tylko spokoju. Lecz nami pogardzano, a nasze wzniosłe idee inkryminowano nam jako wywrotowe. Szczere dążenia nasze do sprawiedliwości i miłości przyjmowano z podejrzeniem lub szyderstwem. A to tylko dlatego, że jesteśmy słabi. Zaiste, hasła o pacyfiźmie i internacjonaliźmie brzmią ładnie i poważnie tylko w ustach narodu silnego i niezależnego.. Bądźmy więc silni". (nr. 106).

Z przytoczonych słów każdy łatwo wyciągnie dwa wnioski: 1) nie do pogodzenia są w jednej cywilizacji dwa typy psychiczne, z których jeden produkuje, według swego rozumienia, dobroczynne kwiecie chryzantemu, a drugi od tego kwiatu umiera, jak od beladony; 2) nie udawajmy, jak Boy, że hodujemy chryzantemy, służąc żydom. Zdecydujmy się, czyje aspiracje narodowe nam bliższe: polskie czy żydowskie — trzeba wybrać i do tego się przyznać.

ZYGMUNT WASILEWSKI

# GŁOSY

W POLITYCE MIĘDZYNARODOWEJ KWESTJA POROZUMIENIA CZTERECH GŁÓWNYCH MOCARSTW zachodnich w sprawie przeprowadzenia „rewizji granic" pozostaje zagadnieniem najważniejszem. Treść rozmów rzymskich nie jest wprawdzie dotąd znana ani prasie państw europejskich, ani parlamentom, niewiadomo też dobrze, jaka była treść projektu Mussolini'ego i kontrprojektu ministrów angielskich. O sprawach tych debatowano na zasadzie domysłów i pogłosek. Nie z innych źródeł czerpali swe wiadomości posłowie z angielskiej Izby Gmin, zabierający głos w dyskusji, przed ferjami wielkanocnemi ostatniej, na temat sytuacji niemieckiej. Rozprawy te wyolbrzymione zostały w prasie do rozmiarów największego zdarzenia politycznego w ubiegłym tygodniu. Wiadomość o nich pisma opatrzyły odrazu nagłówkiem: „Anglja przeciw rewizji granic". Wniosek tu wydaje się nam zbyt łatwy i pochopny, a zresztą wynikający z nieznajomości opinji angielskiej. Chamberlain mówił wyraźnie: „Czy z takim (jak hitlerowski) rządem mówić można o rewizji granic? To z nimi chcecie gadać o polskim korytarzu? Korytarz zamieszkały jest Polaków. Czy ośmielilibyście się choć jednego więcej Polaka wydać pod ucisk takiego rządu?" Niech się jednak *régime* w Niemczech zrobi liberalny; wtedy prawdopodobnie inaczej będzie można mówić o tej sprawie... Churchill przed paru dniami w tymże parla-

mencie oświadczył się wyraźnie za pomysłem oddania przez Polskę Pomorza Niemcom, inny mówca, wybitny frankofil, gen. Spears, wskazywał na niebezpieczeństwo odrodzenia militarnego Niemiec, lecz (jak to piszący te słowa słyszał z ust własnych generała) — wierzy mocno, że najpiękniejsze pole współpracy Francji i Anglji otworzy się przed niemi dopiero przy okazji wspólnych prób wywarcia nacisku na Polskę, aby Niemcom wreszcie ustąpiła Pomorze... Nie należy sądzić, aby poglądy tych ludzi, a także dużego odłamu opinji angielskiej, zmieniły się zasadniczo w tych sprawach naskutek dojścia hitlerowców do władzy. — Nie, tylko chwila obecna wydaje się im niepomyślna do podjęcia prób rewizji. I to nie wszystkim: nie brak jeszcze w Anglji fanatyków, którzy sądzą, że dlatego właśnie tak spotężniał w Niemczech ruch hitlerowski, iż zbyt powoli po wojnie robiono im ustępstwa. Nawet w prasie skrajnie konserwatywnej pogląd ten znajduje swoich zapalonych rzeczników. Rzecz jasna, że z tego stanowiska, z chwilą dojścia Hitlera do władzy, potrzeba „rewizji" jest pilniejsza, niż kiedykolwiek: to właśnie będzie podcięcie zła w korzeniu: ruch niby-narodowy w Niemczech straci swój sens i rozpęd, kiedy zadowoli się Niemcy kosztem Polski. Rewizja, to najświętsze zadanie chwili... Oczywiście, kto tak rozumuje, zapoznaje zupełnie istotę odrodzeńczego ruchu narodowego w Niemczech. Lecz i takich nie brak „polityków".

ŚMIESZNOŚCIĄ OCZYWIŚCIE JEST, ŻE W DEBATACH TAKICH, jak wyżej wspomiane, rozstrzyga się los granic Polski, bez zapytania o to, co ona sama o tej sprawie myśli. Trzeba stwierdzić, że nasze czynniki oficjalne ponoszą niemałą odpowiedzialność za to, iż mówienie w ten sposób o Polsce wydaje się angielskim publicystom i posłom do parlamentu tak naturalne. W oczach ich nie istniejemy jeszcze, jako poważny, samodzielny czynnik w polityce międzynarodowej. Wina to tych, co Polskę reprezentują wobec zagranicy, że głos ich wogóle nie jest brany w tem wszystkiem pod uwagę. Nie umiemy pokazać się na Zachodzie, jako czynnik poważny; nie wystąpiliśmy w tej roli, m. in. niewątpliwie dla braku odpowiednich statystów w kołach dziś aktywnych w polityce zagranicznej. Zbyt często Polska nazewnątrz jest niema albo komiczna. Lecz mimo to przeoczanie jej rzeczywistej siły i wartości jest pomyłką, charakterystyczną dla polityków angielskich starszego pokolenia, co przyzwyczaili się do tego, że na mapie, gdzie teraz jest Polska, nic nie było. Ci po dziś dzień nie przezwyciężyli uczucia lekkiego *shocking*'u, że w tem miejscu niespodziewanie rozpostarło się duże państwo. Okrawać je i redukować do jakichś przyzwoitszych rozmiarów jest u ludzi tych odruchem naturalnym. Do głosu zaś w polityce nie doszło jeszcze pokolenie młode, bardziej sceptyczne co do roli Anglji, a przyzwyczajone już w szkole widzieć Polskę w granicach obecnych na mapie. Przeoczanie nas u starszych jest czasem szykaną, lecz częściej poczciwą pomyłką, której sami postawą własną i znaczeniem w powojennej Europie nie umieliśmy skorygować. Inaczej nie pisanoby rzeczy tak nierealnych, że nawet jako informacja tendencyjna nie mających wartości. „Gdyby np. Francja przystąpiła do nowego porozumienia odnośnie „korytarza polskiego"—rezonuje „*Sunday Times*" w artykule wstępnym z 16 kwietnia, — [czyli poparła myśl oddania Pomorza Niemcom, to co?] — „to wiadomo byłoby, że sprawa ta nie jest objęta sojuszem polsko-francuskim, i zarówno Polska, jak Niemcy, przystałyby na takie rozwiązanie". A zatem poważni nawet publicyści zachodni mogą dziś jeszcze mniemać, że Polska zgodziłaby się oddać Pomorze Niemcom, i doprowadzić z niemi do zgody, gdyby imperjalistyczna Francja na to pozwoliła... Gdy spotyka się takie mniemania, widzi się, ile jest racji w zarzutach publicystów, że rząd polski nie skorzystał dostatecznie z nadarzających się raz po raz sposobności, aby świat poinformować, jaki jest na te sprawy pogląd polski.

CO SIĘ TYCZY WSPOMNIANEJ MOWY SIR AUSTINA CHAMBERLAINA w parlamencie, stwierdzić trzeba, że sprawę „rewizji granic" poruszył krytyczniej i głębiej od innych mówców. Wytoczył argumenty dosyć zasadnicze, godzące w sam dwuznaczny termin „rewizja", tak chętnie przez rządy dla swej pozornej nieokreśloności używany. „Rewizja to słowo niebezpieczne... Doprawdy niemądre wydaje mi się tak głośne trzepanie o rewizji traktatów, gdy ci, co ideję tę forsują, odżegnywują się od myśli, że sami mieliby uczynić jakiekolwiek ustępstwa. Nie doszło do mej wiadomości, jakoby szef rządu włoskiego był zdania, że między innemi rewizji ulec powinna granica w Tyrolu; a co się tyczy nas samych, toż przecie p. Mac Donald zaprzeczył był z oburzeniem, jakobyśmy mieli zwrócić Niemcom Afrykę Wschodnią, lub jakąkolwiek inną część ich dawnych kolonij". Krytyka taka istotnie zwraca się przeciwko samej idei rewizji. Adwokat Sir John Simon, obecny minister spraw zagranicznych Anglji, celujący w oświadczeniach wykrętnych, wyjaśnił w odpowiedzi, że „naskutek wizyty rzymskiej zagadnienie rewizji nie zostało odniesione do żadnej konkretnej granicy" („*there had been no question of this frontier or that arising from the Rome visit*"), co oczywiście nie wyłącza tego, że w pierwotnej propozycji Mussoliniego, i także w kontrprojekcie angielskim, mogła być już i o takich zmianach mowa.

W związku z tem ciekawy jest pogląd przedstawiciela socjalistów francuskich, Leona Bluma, wypowiedziany w rozmowie z korespondentem „*Manchester Guardian*" (z 15.IV), a nie zanotowany przez naszą prasę codzienną. Nie mamy powodu nie wierzyć socjalistycznemu przywódcy, z pochodzenia, jak wiadomo, Żydowi, gdy konstatuje, że „postawa Francji wobec Polski jest dziś naogół przychylniejsza, niż przed sześciu miesiącami. Rozdzieleni Niemcami hitlerowskiemi, chcąc nie chcąc musimy współdziałać". Charakterystyczne jest to „chcąc nie chcąc". Francja nie daje się porwać psychozie wojennej. Ale dwie rzeczy mogłyby równowagę tę zakłócić: nagły atak na Polskę—i być może także powrót Hohenzollernów do władzy. Wtedy zajść mogłaby szybka i gwałtowna zmiana w opinji francuskiej. Armja polska jest we Francji ceniona. „Niemcy myślą, że wojna z Polską byłaby tylko formalnością do załatwienia, ale w tem mylą się grubo". Podobne poglądy wyrażali inni socjaliści francuscy. W związku z niezakończoną dyskusją nad „paktem czterech", te głosy przedstawicieli najmniej przyjaznej Polsce grupy w parlamencie francuskim niewątpliwie coś mówią o nastrojach ogólnych.

HITLERYZM, JAK TO WYRAŹNIE WIDAĆ Z POWIERZCHOWNYCH NAWET OBSERWACYJ, NIE JEST ZJAWISKIEM W RODZAJU „SANACJI". Zainteresowań jego nie wyczerpuje gra taktyczna, zmierzająca li tylko do utrzymania się przy władzy, posiada on poczucie głębokiej rewolucyjności i plan swój pragnie realizować naprawdę serjo.

Antysemityzm Narodowych Socjalistów nie jest również hasłem taktycznem, lecz stanowi jeden z kardynalnych punktów programu, uzasadniony gruntownem poznaniem teraźniejszości i dziejów niemieckich oraz roli żydów w tych dziejach, zwłaszcza w rewolucji 1918 roku.

Dlatego też błędne wydaje się mniemanie, że „Hitter dogada się z żydami".

Bojkot oficjalny, organizowany przez rząd, nie został wprawdzie wprowadzony w życie poza jednym dniem demonstracyjnym. Ale szerzy się inny bojkot: bojkot zorganizowanego społeczeństwa niemieckiego, który żydom zadaje również poważne rany.

Uwaga rządu zwróciła się w innym kierunku, bardziej dla Niemiec zasadniczym: w kierunku życia inteligencji. Życie to opanowali żydzi bardziej, niż teren gospodarczy. Olbrzymia (większa bodaj, niż u nas) liczba żydów na urzędach państwowych, w prasie, literaturze, teatrze, zawodach wolnych była groźnem niebezpieczeństwem dla społeczeństwa niemieckiego. Nietylko odbierała chleb rdzennym Niemcom, ale demoralizowała i rozkładała całe pokolenie. Sławny był dwa lata temu skandal z literatem żydowskim, który za pozwoleniem i poparciem pruskiego ministra oświaty objeżdżał gimnazja niemieckie, propagując reformę kodeksu karnego przez zniesienie kar za homoseksualizm.

Kto pamięta powieść p. t. „Rasa", którą drukowała z dziesięć lat temu „Gazeta Warszawska", (powieść ta wyszła z pod pióra członka stawiającej wówczas pierwsze kroki partji narodowo-socjalistycznej), ten wie, jaką wagę przykładają hitlerowcy do oczyszczenia życia niemieckiego z inteligencji żydowskiej. Dlatego też na tem polu rząd Hitlera nie ustąpił ani na jotę. Masowe rugi trwają i niewątpliwie będą trwały nadal. Usunięcie Reinhardta, konfiskata konta Einsteina, projekt zakazu małżeństw mieszanych — oto efektowne i dla zagranicy posunięcia, które świadczą o wielkiem zdecydowaniu kanclerza i jego otoczenia.

# NAUKA I LITERATURA

## WIELKOPOLSKA WCZORAJ I DZIŚ*)

ZWIĘZŁY zarys historji i kultury Wielkopolski od czasów najdawniejszych do czasów dzisiejszych dawno był potrzebny, szczególnie młodym regjonalistom, by ich uchronić od zbędnego odgrzewania dawno i dobrze znanych rzeczy, ale i dlatego, bo uświadomić sobie skarby kultury tak obszernego „regjonu", jakim jest Wielkopolska, potrzebne, nie tylko regjonalistom jest ale wszystkim, którzy swą ziemię rodzinną kochają, a mało ją znają. Książka St. Papéego [1]) wypełnia więc dotkliwą lukę w naszem piśmiennictwie regjonalnem, ujmując dzieje polityczne i kulturę wielkopolską od zarania państwa polskiego do czasów najnowszych, zawiera zwięzłe informacje geograficzne, etnograficzne, folklorystyczne (krajobraz, język i kultura ludowa, baśnie, pamiątki), podkreśla rolę Wielkopolski jako kolebki polskiego języka literackiego, poczem chronologicznie przedstawia historję Wielkopolski pod wzgl. politycznym i kulturalnym. Szeroko uwzględnił autor wiek XVI, „złoty wiek" kultury Wielkopolski, przypomniał dziesiątki nazwisk znanych i mniej znanych w naszych dziejach, ludzi, którzy się walnie przyczynili do współutworzenia „Złotego wieku" Polski. Jest to wogóle zaletą książki, że dzieje kulturalne Wielkopolski są możliwie szeroko ujęte, dzięki czemu łatwo się zorjentować, co Wielkopolska wniosła do skarbca kultury ogólnopolskiej. Odżywa kolejno wiek po wieku, cała dawna Wielkopolska, bogata zarówno w literatów, uczonych, artystów jak i statystów, duchownych sławnych i głośnych wojaków. Przeżywamy na nowo najcięższy okres w dziejach Wielkopolski, okres okupacji pruskiej, okres niszczenia polskości — ale i okres wytwarzania się silnego charakteru Wielkopolan. Przypominamy sobie heroiczne wytrwanie ludu, mieszczaństwa, inteligencji wielkopolskiej, dzielną pomoc poznańskiego kleru i arystokracji dla podtrzymania i utrzymania polskiego stanu posiadania. Uświadamiamy sobie wreszcie ostatnie lata Wielkopolski odrodzonej i złączonej z macierzą. Jakkolwiek opis cały jest niezmiernie krótki i zwięzły — to jako dziełko popularne jest wystarczający dla zorjentowania się w całokształcie dziejów politycznych i kulturalnych Wielkopolski i swą rolę przewodnika i krzewiciela miłości ziemi rodzinnej spełnić może zupełnie zadowalająco.

Zbyt pobieżnie potraktował autor okres nowszy, gdzieś od roku 1880. Chociszewskiego, który odegrał przecież znaczną rolę w dziedzinie krzewienia oświaty polskiej, którego „historja" i „literatura" we wszystkich niemal znajdowała się domach, zbył autor krótko, nic nie mówiącą wzmianką. Bo co wyobraża sobie przeciętny wielkopolanin, jeśli się Chociszewskiego zestawi z Miarką? Zupełnie pominął dr. Papée Turczyńskiego, poczytnego kiedyś powieściopisarza wielkopolskiego. (Nie zna autor widocznie pracy T. Pietrykowskiego o Turczyńskim). Uderza również brak jakiejkolwiek wzmianki o pożytecznej i owocnej działalności T. C. L., uderza tem bardziej, że autor podkreśla rolę Z. A. K. Z; późniejący powstałego, o mniejszym wpływie w Wielkopolsce. Trudno też zrozumieć, dlaczego niema ani jednego słówka o Macieju Wierzbińskim. Nie był to koryfeusz na Parnasie polskim, niemniej dobrze zna Wielkopolska jego powieści, szczególnie o wyzwoleniu ziem zachodnich (za co otrzymał krótko przed śmiercią nagrodę im. Orzeszkowej) Zapomniał autor o X. K. Zimmermannie, późniejszym rektorze U. J., autorze kilku cennych prac historycznych. W omówieniu XVI w. należało również wspomnieć o świętobliwym Tomaszu Zielińskim (ur. 1548 wzgl. 1549). Należało, wspominając wydawnictwo Wegnera — wspomnieć również o największej Katolickiej Księgarni w Polsce, o Księgarni Św. Wojciecha. Dlaczego pominął autor bogactwa naturalne Wielkopolski, zdroiowiska, wspaniale rozwinięty zakład solankowy w Inowrocławiu, kopalnie soli, wapna, fabrykę fajansów i porcelany w Chodzieży i w. in. Luk podobnych znalazłoby się więcej jeszcze. W całokształcie, choćby bardzo zwięzłym, wyżej wymienionych braków być nie powinno.

Zato zgoła niepotrzebne są końcowe dysputy partyjno-polityczne. Miał autor prawo przytoczyć i udowodnić swój pogląd o stosunku Marsz. Piłsudskiego do ziem zachodnich, nic jednak nie upoważnia to autora do umieszczenia w książce, przeznaczonej dla młodzieży, swoich animozyj partyjno-politycznych. Poniósł tu autora temperament najniepotrzebniej w świecie, bo książka straciła dużo na objektywności i kończy się zgrzytem.

Wyjąwszy jednak ten niefortunny wyskok — jest książka dr. Papéego wydawnictwem potrzebnem i pożytecznem, napisana z serdecznem ukochaniem Wielkopolski i jej wartości, z zrozumieniem i docenieniem roli, jaką Wielkopolska odegrała dawniej, jaką jeszcze odegrać może i powinna.

Mikołów ALFRED JESIONOWSKI

[1]) Stefan Papée: „Wielkopolska wczoraj i dziś". Lwów, 1933. Nakł. Państw. Wyd. Książek Szk. str. 234+6 nlb.

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Już pierwszy zbiorek poezyj Wiesława Strzałkowskiego — z przed lat paru, w którym młody maturzysta pod charakterystycznym tytułem „Pożegnanie szkoły" rozstawał się ze swoją uczelnią, zapowiadał w młodym poecie „poetyckie na świat spojrzenie", znajdujące wyraz w nieopanowanych jeszcze technicznie z natury rzeczy strofach. Obecne „Poezje" (Warszawa, 1933, Skład główny Inst. Wydaw. Bibljoteka Polska) przynoszą w ustosunkowaniu się autora do świata pewne znamienne zmiany, aczkolwiek zasadniczo oba zbiory wychodzą z analogicznej postawy uczuciowej poety do świata otaczających go zjawisk. Postawą tą jest głęboki, humanitarny liryzm, którym Strzałkowski przesyca ujmowane w kształt słowny swoje obserwacje życiowe, jak również własną spowiedź poetycką. W „Poezjach" autor przeszedł już jednak granicę nienasyconej chłonności wrażeń

uderzających bezpośrednio w wyciągnięte struny duchowe „młodości niesytej", trzepocącej się, „jak gołąb, w sieci schwycony", przekroczył granicę takich wrażeń, które wydobywały z niego skargi bolesne a przedwczesne na „załamanie się w locie górnego ptaka".

Przejście tej granicy pozwoliło mu na zdobycie czynnej postawy wobec niepokojących go, ale już nie przytłaczających boleśnie przeżyć. Taki jest jego rezonanas duchowy, daleki od wszelkiej depresji, kiedy w zranionem poczuciu człowieczeństwa głośny protest wypisuje „przeciw karze śmierci", kiedy się wczuwa w śmiertelną mękę ośmiomiljonowego tłumu „poległych wielkiej wojny", kiedy pisze list pacyfistyczny do brata-człowieka, kiedy wreszcie staje w obronie tylu zmarnowanych młodych istnień w „*Res humana*", jednym z najładniejszych i w treści i w formie utworze zbiorku. Szukając długo ukojenia wśród koszmarnej rzeczywistości, znajduje ulgę w „Pochwale polskości", we wspomnieniach sławnej przeszłości narodowej, pełnię jednak spokoju znaleźć musi w tej samej rzeczywistości, która mu tyle bólu zadała. Afirmację rzeczywistości znajduje autor w stwierdzeniu, że przecież „na każdem ściernisku leżą pełne kłosy żyta", że „w każdej lichej trawce siedzą aniołowie". Afirmację tę zawarł poeta w pełnych powagi i zadumania kontemplacyjnych kwartynach i dwuwierszach, godnie zamykających cykl „Poezyj". Niektóre z tych gnomików uderzają bogactwem myśli i kondensacją formy poetyckiej.

Z niejednolitości zbiorku sam autor zdaje sobie dokładnie sprawę, znajdując dla siebie dumne i niepozbawione słuszności usprawiedliwienie końcowe. Należałoby się spodziewać, że szczerość, świeżość i bezpośredniość odczuć młodego autora (jakże dalekich od pospolitego dzisiaj w poetyckiej mowie zakłamanego pozerstwa), które biją poprostu z każdego jego wiersza, pozwolą mu w bliskiej przyszłości, przy pomocy właściwej mu żywej i wrażliwej wyobraźni oraz łatwej techniki wierszowej, pokonać piętrzące się jeszcze przed nim trudności. Młody poeta odnajdzie siebie niewątpliwie, gdyż już w zbiorze niniejszym patos rozlewnego słowa (lenartowiczowskie: „słowa być winne oszczędne jak złoto!"), rozsadzadzający strukturę formy i obniżający siłę ekspresji poetyckiej, przechodzi w końcu zbiorku w opanowaną koncentrację środków artystycznych. Wiersze graniczne są tego najlepszym dowodem. (J. N.)

*

„Kryzys książki", na który tak zwykli biadać wydawcy, ma wiele powodów; w każdym razie zaczął się on niewątpliwie wcześniej od wielu innych kryzysów, a sami wydawcy (nie wszyscy) ponoszą zań główną odpowiedzialność. Książka się zdeprecjonowała przez demagogję pewnych firm, które stale grały na najniższych instynktach rzeszy czytelniczej, podsuwając jej lekturę niewybredną pod względem zarówno estetycznym jak etycznym, a nawet zdolnych pisarzy przymuszając na różne sposoby i niewoląc do tego, by zniżali poziom swych utworów, szpikując je gęsto tem, co i sami wymusiciele zwali otwarcie mianem „świństwa". Do eksploatowanych i tyranizowanych w ten sposób pisarzy należał między innymi autor licznych, a czytywanych chętnie nawet za granicą, powieści, Antoni Marczyński. Pisarz ten, obdarzony niesłychaną łatwością pisania, przytem górujący niewątpliwie stylem ponad rzeszą naszych (a także i wielu obcych) autorów „sensacyjnych" powieści, zdołał się już na szczęście wydobyć z niewoli wydawców; w nowych książkach, wydanych własnym nakładem autora, znać już nowy rozpęd oraz radość z uzyskanej swobody. Radość ta była pono jednym z powodów, iż Marczyński przerzucił się do humorystyki, przeradzającej się niestety w satyrę. Debjutem był zbiór „Byczy sen". Na plan pierwszy wysunęły się tu ostre porachunki z dotychczasowymi ciemiężycielami-wydawcami: „Józefem Marją Pisklerem" z Tow. Wyd. „Ul" i „E. Krachem", „ałtorem" pysznego listu, który możnaby uznać za szmonces, gdyby nie to, że żydkowie są w nim tęgo ośmieszeni. Nazwiska istotne tych ludzi są przejrzyste; drugiego z nich, tak głośnego na całą Polskę Erdtrachta, ukazuje Marczyński w ciągu dalszym bez przyłbicy, a w powieści „Władczyni podziemia" całkiem wyraźnie go zalicza do handlarzy żywym towarem. Mniej zjadliwości i uszczypliwości (choć i tu nie brak aktualnych aluzyj), a zato więcej niefrasobliwego humoru ma powieść „detektywistyczna" — raczej może umyślna parodja powieści detektywistycznej — o tchórzliwym reporterze Rafale Króliku, nosząca tytuł „Czarci jar". Tytuł przypomina nazwę „Czortowego jaru" z „Trylogji"; analogij znalazłoby się więcej, bo i opresje oraz fortele Królika mają pewną parentelę z osobą Zagłoby. Prócz modnej powieści detektywistycznej sparodjował tu Marczyński modną również powieść „niesamowitą", może idąc torem „Owoców oświaty" Tołstoja albo „Zamku wśród gór" Juljusza Verne'a. Akcja wartka niezmiernie—aż niekiedy rozpęd jej wpada w szarżę—ale może właśnie o to autorowi chodziło. (J. B.)

## Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Piotr Daubeuf znajduje się jako profesor na uniwersytecie w Oslo. Tam poznaje piękną Ingrid Anker. Łączy ich zrazu tylko inteligentna i serdeczna przyjaźń. Ingrid jest wolna i gotowa zawrzeć ponowne związki małżeńskie. Piotr Daubeuf jednak ma żonę i dzieci... Czy wyrzeknie się on dla powabnej kobiety północnej swego ogniska? — Możnaby to zrazu przypuszczać. Ingrid bowiem stawia za warunek uregulowanie sytuacji, t. j. rozwód. Pewnego jednak dnia zgodzi się raz jeden do niego należeć. Wówczas jednak Piotr, dotąd niezdecydowany na poświęcenie jej swojej rodziny, postanawia poślubić Ingrid. Ta ostatnie natomiast, kierowana instynktem kobiecym, zdaje sobie doskonale sprawę, że ich miłość, zbudowana na podobnych zgliszczach uczuciowych, nie zapewni im szczęścia. Dlatego też zaprze się swego uczucia, opuści Francję, pozwalając w ten sposób ukochanemu człowiekowi odzyskać równowagę i powrócić do swojej roli męża i ojca. Przejście to, niezmiernie bolesne, oddał autor z dużem zrozumieniem psychologji, uwydatniając w sposób niezmiernie patetyczny zmagania się ciężkie ułomnej natury ludzkiej. Nic też dziwnego, że powieść ta nosi tytuł: „*L'amour qui sépare*" *(Flammarion édit)*. (I. B.)

## NOWE KSIĄŻKI

Jeszcze o sprawie wolności szkół akademickich. (Uchwała walnego zgromadzenia członków Akademji Umiejętności). Kraków 1933.

Świętosławski Wojciech prof. polit. warsz. Uwagi o projekcie nowej ustawy o szkołach akademickich. Warsz. 1932.

Kwartalnik Pedagogiczny. Rok V, nr. 1 (z rozprawą prof. Wł. Kota „Podstawy historyczne współczesnesnej organizacji szkół akademickich").

Surzycki Stefan prof. Walka o autonomję uniwersytecką. Warsz. 1933. Odbitka z „Myśli Narodowej". S. 63.

Marchlewski Leon prof. W sprawie nowej ustawy o szkołach akademickich. Kraków 1933. S. 16.

Trzy memorjały konferencji rektorów szkół akademickich. Kraków 1933. S. 16.

Ganszyniec Ryszard prof. Walka o szkoły akademickie. Lwów 1933.

Ostrowska Bronisława. Pisma poetyckie. Tomy I, II i III. Warsz. 1932. Wydawn. J. Mortkowicza.

Fulman Władysław. Szarotki (Poezje). Warsz. Dom Ks. Pol.

Mycielski Stanisław. W sercu dżungli. Poznań. 1933. Wyd. Polskie (R. Wegner)

Miklaszewski Stanisław. Izby rolnicze. Zarys rozwoju samorządu rolniczego w Europie współczesnej. Nowe prawo o izbach rolniczych, Warsz. 1933. Związek organ roln. S. 71.

Ossowiecki Stefan. Świat mego ducha i wizje przyszłości. Warsz. 1933. Dom Książki Polskiej. Str. 369 i ryciny.

Jellenta Cezary. Wiatraki Don Chichota. Pamiętnik. Scenarjusz. Warsz. 1933. „Rapsod". S. 160.

Zawiszanka Zofja. Świt wielkiego dnia. Opowieść z dzieciństwa marszałka Piłsudskiego. Warsz. 1933. Dom Książki Polskiej.

Grzegorczyk Piotr. Joseph Conrad w Polsce. Materjały bibljograficzne. Warsz. 1933. Uzup. odbitka z „Ruchu Literackiego". 100 egz.).

Album plastyków pomorskich. Tom I. Rok 1932—33 (Ilustr.) Warsz. Dom Książki Polskiej.

Sztuki Piękne, luty 1933. Kraków.

Irzykowski Karol. Benjaminek. Rzecz o Boyu-Żeleńskim. Warsz. 1933. F. Hoesick. S. 192.

Kronenberg Leopold Juljan. Wspomnienia. Warsz. 1933. F. Hoesick, Str. 215.

Markowski Bolesław. Szkolnictwo w Kielcach, 1919 — 1931. Warsz. 1933. Odbitka z „Pamiętnika Koła Kielczan". S. 16.

Niepodległość. Tom VII, zesz. 2. Warsz. 1933.

Zaleski Aleks. inż. agr. Agrarjusz. Próba izolacji i syntezy ludowej myśli politycznej. Warsz. 1933. Skład gł. w Związku młodzieży wiejskiej „Wici" (Szopena 16 m. 20). Str. 63.

Nawrocki B. inż. Dalsze marnotrawstwo w kasach chorych. Warsz. Wyd. Ligi Pracy. Str. 78.

# OFENSYWA

## LEITES I LEYMAN

TEN Erenburg, agent tajny i szpieg Sowietów na Europę (Paryż i Berlin), jewrej wdały i zdolny, ładunek antychrystowego dynamitu, Juduszka, uginający się pod ciężarem opętańczej nienawiści do Europejczyków, recydywny Azjata i nomada, fizycznie poczwarny i pokraczny brudas znów napisał nową książkę. I znów ją galopem przetłumaczył na polski, oczywiście żyd. I znów, oczywiście w urzędowej „Gazecie Polskiej", punktualnie pojawiła się recenzja, oczywiście nieżyda (Kaden marzy o tłumaczeniu na sowiecki język). Książka wabi się „Fabryka Snów" i rozpowiada o kinie, jako to kino stało się wykładnikiem, megafonem i instrumentem kapitalizmu, amerykańskiego kapitalizmu.

Otóż żyd tłumacz powinien był napisać do żyda autora wstęp z korekturą: nie tyle amerykańskiego, co pansemickiego kapitalizmu, co nie we wszystkiem na jedno wychodzi. Kino bowiem jest tam całkowicie w łapach dyktatury żydowskiej i zostanie aż do wybuchu Hitleryzmu amerykańskiego, to znaczy aż do roku mniejwięcej 1935, 36. Od samego początku opanowali je Żydzi. Najpierw zwąchali odrazu, że to potęga, po prasie zaraz druga. A następnie dlatego, że kino jako warsztat pracy zastępuje im i daje iluzje handlu żywym towarem... Kupowanie i sprzedawanie kobiet jest dziś przez chrześcijan surowo karane, ścigane i tępione. Normalne. W „Sztuce" uchodzi. Wobec tego rzucili się olbrzymiemi zastępami w te wszystkie branże, gdzie kobiety się sprzedaje i kupuje „legalnie", a więc w teatr, teatrzyki, *music-hall*'e, kabarety, dancingi, „judancingi", teatry rewjowe, (Siegfried-Folies). Tu się wyżywają, tu sobie rządzą. Tu handlują z powrotem żywym towarem jawnie. „Girlsy" muszą się rozbierać, tańczyć, śpiewać, a *mister* Bordelman taksuje i kontraktuje. W detalu i w hurcie. Ten towar do Cincinatti (sześć sztuk), tamten do Valparaiso (12 sztuk). Jest o tem cała powieść.

Tak samo i w industrji filmowej. Opanowali ją żydzi nie tylko dlatego, że to narzędzie suggestji i fascynacji tłumów (bydła) aryjskiego, ale i także głównie dlatego, że tu można uprawiać swobodnie handel człowiekiem, handel dziewczynami głównie, można podbijać je w cenie, robić gwiazdy, licytować, degradować, usuwać z rynku, przywracać. To też w branży filmowej są aż do nadchodzącego amekańskiego pogromu jeszcze potęgą. Niechby naprzykład taka Greta Garbo sprała pewnego razu szpicrutą „prezydenta" (*sic*) „*Universal-Picture-Corporation*", *mister* Karola Lämmle, to ponieważ Karol Lämmle wabi się Baruch i jest sobie normalnie genjalnym ale parszywcem, tego samego dnia przestałaby być gwiazdą i znikłaby z ekranów całego świata. „*United Artists*" to: Hiram Abrams, *Metro Goldwyn - Meyer* to dwa Szajloki: Löw i Meyer, a Goldwyn to poprostu Goldfisch, tak jak reżyser von Sternberg to poprostu Stern, wielki *Paramount*, to banda „potentatów", na której czele Jessie L. Lasky (Londyn, Whitechapel) i Alfred Zuckor (Buda-Pest).

W Warszawie, w stolicy Judosłowian, na 52 sal, teatrów kinowych już jednak 1 (jeden) jest własnością przedsiębiorców chrześcijan.

Wśród reżyserów sami „swoi". Efemerydalne wytwórnie tak samo: Centrofilm, Starfilm, Zadora-film, Polfilm, Solfilm, Blufffilm. Laboratorja i atelier, wypożyczalnie i t. p. także w rękach „naszych". Stosunkowo duży procent ganymedów, urningów i awangardzistów, ale mniejsza z tem. Wszystkie przedsiębiorstwa razem wzięte rozporządzają kapitałem obrotowym 26 tysięcy 745 złotych polskich. Z takiemi zapasami ruszać na podbój świata byłoby ryzykiem. Wobec tego robi się dla ojczyzny, *for private circulation*, dla wewnętrznych rynków i robi się, trzeba to przyznać, coraz lepsze, coraz milsze, coraz bezpretensjonalniejsze, coraz łatwiejsze do strawienia ocznego. Wedle stawu grobla. Jak się niema, co się chce, to się chce, co się ma.

A tymczasem panna Jabłonko z „Wiadomości Literackich" nadal kręci noskiem i wydziwia i grymasi. Ani p. Szapiro ani nawet Ordyński jeszcze jej marzeniom o filmie awangardowym, przebojowatym nie zdołali zadość wyczynić. Narzeka także p. J. Toeplitz, ale narzeka inteligentnie i uczenie. Pannie Jabłonko niepodoba się, zdaje się, to, co też już zdawna degustowało p. St. Zahorską. Co zaś mierzi panią Zahorską?

„Polski film jest przepojony, zatruty wyziewami zbutwiałej szlachetczyzny w pseudo-romantycznych oparach. Dworek, pańskie życie ze strzelbą na ramieniu, lokaj—stary sługa, strzelec z piórkiem na kapeluszu i jelenie rogi, zdala wieśniacze chatki, zbożne i skromne, dożynki i dzieci kmiotków, karmione z łapki panienki-dziedziczki, młodzian rycerski i t. p.".

Oto czem z a t r u t y jest polski film. I przepojona gniewem przeciw temu z a t r u c i u, przeciw „szlachectwu" „szabelkowatemu", zapytuje *madame* Zahorska:

„Czy obliczono i zanalizowano już dokładnie, jak zaważył na polskiem życiu współczesnem — Sienkiewicz? Ilu Kmiciców zrodził tamten jeden Kmicic i jak ci mali Kmicice zaciążyli na polskiej rzeczywistości?"

Dosłownie!

*Dear Lady* Z a h o r s k a! Na polskiej rzeczywistości zaciążyły: Żydy. Nie Kmicice, a Żydy i Żydówki. Jest ich bowiem za wiele w polskiej rzeczywistości, oni są za bezczelni, a one są za aroganckie. I na polskiej rzeczywistości filmowej zaciążyły Żydy. Na polskiej „Fabryce Snów" (Erenburg) filmowych też zaciążyły Żydy. Za dużo ich wśród recenzentów, reżyserów, właścicieli sal i wytwórni, przedsiębiorców, techników. W Sowietach przy Gorkim niema ani 10% tego, co w Polsce. W ukochanych waszych Niemczech ani na lekarstwo.

„Kmiciców" zaś radzi się grzecznie nie tykać i „szabelek" radzi się nie macać. Sienkiewicz nie pisał dla Ghetta, jak nie pisał i Goethe. Dla Nalewek pisze Erenburg

Jak zasię zaciężyły Żydy na rzeczywistości filmowej i polskiej „fabryce snów", to przykład mamy na filmie „Pod Twoją Obronę". Zainicjowała film „Akcja Katolicka" i zdaje się ks. dr. Wł. Lewandowicz. Muzyka Maklakiewicza, doskonała!! Nie było natomiast dość zdolnych i wyrobionych, doświadczonych katolików do realizacji, wzięto więc do współpracy żydów. No, no, jeszcze można zacisnąć zęby i wybaczyć, klnąc po cichu ostatniemi słowami na to widocznie niezdarne, niemrawe, tępe, ograniczone, głupowate, kalekie, nadwiślańskie, pigmejskie plemię Fellachów. Och, ile racji! ile racji! miewał ten, który im tyle wydziwiał i po łbach obelgami walił! Nie znalazły się więc do realizacji pierwszego religijnego filmu w Polsce kato-łyki kołtuny, to niech już do kroćset djabłów robi Leites... *Vivat* Leites! Z trudem... ale jeszcze można wytrzymać.

Nowy skandal zaczyna się na drugi dzień.

Jak można cenić talent L e i t e s ó w, tak trzeba przyznać, że L e y m a n y jako właściciele kina „Apollo" prowadzą swój interes *prima sorta*. Chodzi tam Warszawa przeważnie na sowieckie filmy, a bardzo rzadko na ekranie pojawia się jakaś tandeta; wśród publiczności w 70% przeważają starozakonni i starozakonnice. Ale, jednakże, mimo wszystko...

Na 52 kina w stolicy, „Apollo" mógłby być dopiero 16-tym lub 19-tym, który kwalifikowałby się na eksponowanie właśnie pierwszego religijnego filmu w stolicy katolickiego państwa. To też jak bezwzględnie nie wypadało, żeby do Warszawy rok temu po raz pierwszy chór Gregorjański kaplicy Sykstyńskiej sprowadzał z Rzymu impresarjo żydowski, tak też najstanowczej nie godziło się, żeby pierwszy film z tendencją wyraźnie katolicką i narodową szedł w kinie „Apollo". Panowie z „Akcji Katolickiej" zrobili „*faux pas*", niewybaczalny i niegodny. Dalej zajść w kompromisowości kompromitującej już nie można. Premjera „Pod Twoją Obronę" powinna była iść w Filharmonji (gdzie są organy), nie wstydliwie, pokątnie, chyłkiem, milczkiem w asystencji Leitesów i Leymanów. Raz coś wreszcie zrobią, ale zaaranżują *lancement* tak, że niech ręka Boska broni!

Oto do jakiego stopnia nad rzeczywistością polską ciąży nie... Sienkiewicz i nie... Kmicice, a naród wybrany, rasa genjalna w każdym calu, w każdym osobniku, w każdej jednostce, traktująca Polaków coraz słuszniej jako mierzwę! Mierzwę! Słyszano? Mierzwę.

ADOLF NOWACZYŃSKI

# NA MARGINESIE

— W historji tak bywa. Gdy zbyt szybko zapełnia się Walhalla posągami, to potem trzeba je odbrązowiać systemem niedowiarków. Takim niedowiarkiem staje się prokurator...

— Ma pan na myśli proces Ruszczewskiego?

— Gdy zbytni tłok w Walhalli, trzeba to i owo odbrązowić, odmiedzić, odśpiżować, odmarmurzyć. Ale to odbiera powagę całości. Potrochu Walhalla zamienia się w *Panopticum* woskowe czy gumniane.

*

Reprezentacja związków młodzieży akademickiej w Niemczech zwróciła się do rządu z wezwaniem, aby wszystkie publikacje, pisane przez Żydów po niemiecku, nosiły na sobie obowiązkowo napis, że są przełożone z hebrajskiego.

Żydzi w Polsce zamierzają wystąpić z projektem, aby dla demonstracji polscy pisarze pisali po hebrajsku i zaznaczali, że jest to przekład z polskiego.

PEN-klub podobno poważnie zajął się tą sprawą. Jak wojna — to wojna!










## TREŚĆ:




Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.